

12 388



100-

~~Z KRAKOWA
STRAZI
JANOWSKI~~

TYDZIEŃ NA WODACH MORZA EGEJSKIEGO

napisał

Franciszek Zych.



CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5167110

W KRAKOWIE
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1896.

Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego“ z m. Lutego 1896 r.



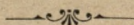
12388

W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

NH-66946

N-4677302/TMK

Tydzień na wodach morza Egejskiego.



Słusznie powiedział jeden z naszych miłośników starożytnego świata, że „gdyby kiedyś utonęło w nocy barbarzyństwa wszystko, co tylko zacnego i pięknego na świecie, gdyby kiedy człowiek miał zapomnieć o wiekuistym pochodzeniu swoim i zapaść się w otchłani nieuctwa i zmysłowości, mógłby jeszcze z głębi swojego poniżenia, z pośród sromoty swojego upadku, podnieść się i urósć samem wspomnieniem starej Hellady; sama pamięć, że duch Grecyi był przecież także duchem ludzkim, byłaby ratownym talismanem, wracającym mu uczucie własnej godności jego; ten duch napoiłby ufnością i wydzwignąłby z rozpacz i pogardy siebie. Dziś z tych gruzów ateńskich, z tych kilku ksiąg, z tych posągów marmurowych wieje na świat duch ożyweży, co ratuje późne pokolenia od zgnilizny, a dżumy duchowej.“

To też od bardzo dawnych czasów, aż po dni dzisiejsze, nie brakło nigdy i nie braknie w przyszłości zagorzałych wielbicieli tego wszystkiego, co wydał niedościgły geniusz starych Hellenów, a wypielegnowała wspaniała Hellady przyroda. Uczonym pielgrzymom do miejsc, gdzie cenne przechowały się zabytki przeszłości, nie brak i przewodników, albowiem Instytut archeologiczny niemiecki w Atenach urządza co roku — zwyczajnie w kwietniu — dwie naukowe wycieczki: jedną po Peloponniezie, drugą po wyspach i wybrzeżach morza Egejskiego. Tę drugą, odbytą w r. 1894, w krótkości będę się starał opisać.

I.

Dzień wyjazdu z Pireusu przeznaczony był pierwotnie na 15 kwietnia, lecz ponieważ wynajęty umyślnie na ten cel okręt, któremu przy chrzcie miano „Iris“ nadano, nie mógł być gotów, przeto nastąpiło jednodniowe spóźnienie. Koleją o wpół do siódmej wyjechawszy z Aten, o siódmej byłem już na pokładzie statku, a z uderzeniem wpół do ósmej, jak było zapowiedziane, okręt z wolna zaczął się poruszać i pożegnawszy licznych swoich współtowarzyszy, pozostałych w porcie, przeciągłym świstem, wydostał się na pełne morze, gdzie już swobodniej mógł mknąć naprzód. Podobnie, jak chyża bogów posłanka Iris, gdy z łaską poselską w ręku, wieść dobrą niosąc, z niebios spieszy na ziemię, śmiertelnych ludzi siedlisko, i piersią przerzyna fale powietrzne, uderzając je skrzydły swemi, by lot przyspieszyć, a drogę znaczy siedmiobarwną tęczą — taksamo i nasz okręt pancerną piersią pruł fale wód, a te gniewne strugami piany bryzgały wokół, skrzydły metalowemi swoich potężnych kół uderzał w słone odmęty, by szybciej mknąć przodem, a z tyłu znaczył swoje ślady długą wstęgą, która kołysząc się na powierzchni fal, kolory tęczy przyjmowała.

Ranek był pogodny i piękny. Słaby, ale chłodny wietrzyk pociągał od północy, morze stosunkowo spokojne. Całe uczone towarzystwo, złożone z 64 osób, między tymi 7 pań, poskładawszy swoje tobołki podróżne w kajutach, wyruszyło na pokład okrętu. Teraz dopiero można było dokładniej przypatrzeć się temu uczonemu gronu towarzyszy. Dwie przodujące cywilizacyi naszych czasów części świata, stara Europa i młodsza Ameryka, miały tu swoich reprezentantów. Najwięcej było wysoce poważnych, w stosunkach towarzyskich chłodnych Niemców, dalej szli zakochani w sobie Anglicy, dalej Szwedzi, Belgijczyków dwóch, jeden Francuz, jeden Włoch, dwóch Czechów, jeden Polak, jeden Rusin i czterech Rosyan. Naczelne kierownictwo naukowej wyprawy spoczywało w ręku doświadczonego i energicznego dyrektora niemieckiego Instytutu archeologicznego w Atenach, Dr. G. Dörp-jelda, którego w razie potrzeby zastępował drugi dyrektor

Instytutu, Dr. W. Wolters; nad okrętem miał komendę kapitan Grek. Rola Nestora w podróźnej drużynie przypadła sędziwemu i poważanemu powszechnie Bunsenowi, po którym z kolei co do wieku szedł sympatyczny Francuz, Perrot, autor kilkutomowego dzieła p. t. Georges Perrot et Ch. Chipiez: *Histoire de l'art dans l'antiquité*, t. I—V. (Paris, 1882—1890).

Rozejrzawszy się pobieżnie w okrętowej załodze, przyjrzymy się okolicy. Znajdujemy się naprzeciw wyspy Salaminy. Widok urozmaicony bawi oko, bo niebo pogodne, bo jasny firmament i słońca promienie dodają mu uroku. Zwrócona na najbliższą nam Salaminę większa uwaga, wywołała ożywioną dyskusję na temat bitwy tu stoczonej. Zaczernawszy przedtem tylko nieco teoretycznych wiadomości z archeologii, postanowiłem sobie z góry do żadnych dysput archeologicznych się nie mieszać, pomny zasady: *si tacuisses*, ale tu, gdzie wchodziły w grę kwestye historyczno-strategiczne, nie mogłem wytrzymać i wściubiłem także swoje trzy grosze, broniąc zapatrywania, opartego na opisie Aischilosa, naoicznego świadka bitwy.

Kiedy tak jedna część towarzystwa łamała sobie głowy nad rozwijaniem planów strategicznych, zajmwszy najwyższe stanowisko na pokładzie statku, aby tem widoczniej mieć plac boju przed sobą, inna gromadka skupiła się tymczasem koło pawiloniku nad klatką schodową, wiodącą do sali jadalnej i kajut. Podążyłem tam i odczytałem przybity na ścianie program podróży na dzień dzisiejszy i następny. Punkt pierwszy stanowiło ważne i mile przez czytelników przyjęte ogłoszenie: „śniadanie o godz. wpół do jedenastej,” bo po wczesnej kawie w Atenach żołądki czezość już odczuwać poczynają. Dalsze punkta programu: o godz. wpół do dwunastej przyjazd do Sunion i wylądowanie za pomocą trzech łodzi okrętowych; o wpół do pierwszej odjazd z Sunion; około wpół do drugiej przyjazd do Thorikos; zwiedzanie teatru, grobów kopułowych i starych domów na wierzchołku góry; o wpół do siódmej powrót na statek, o siódmej wieczorem obiad, o dwunastej w nocy odjazd z Thorikos. Tak więc porządek pierwszego dnia podróży zaczynał się wczesnem śniadaniem, a kończył niezbyt późnym obiadem.

Już daleko odbiegła nas Salamina, już minęliśmy i Eginę, i mały półwysep Kavouras, i sąsiadującą z nim wysepkę Phlewę, gdy głos dzwonka powołał nas do sali jadalnej na śniadanie. Towarzystwo rozdzieliło się na dwie części: jedni zasiedli do stołu w pierwszej, inni w drugiej klasie, stosownie do tego, w jakich byli umieszczeni kajutach. Austriackich stypendystów, w liczbie dziesięciu, pomieścił łaskawy komendant wszystkich w pierwszej klasie. Gdy po śniadaniu podano czarną kawę, okręt zawijał już do zatoki Sunion i niebawem zarzucił kotwicę. Była godzina 12 w południe. Wnet spuszczone trzy łodzie i jedna część podróżników podążyła ku lądowi, druga na pokładzie zaczekać musiała na powrót łodzi, bo wszystkich naraz zabrać nie było można. Po stoku góry, pomiędzy kamienie i koleczaste niskie krzewy, wydrapaliśmy się na szczyt przyładku, wzniesionego 180 stóp nad poziom morza.

Przyładek, którego stara nazwa Sunion, a dzisiejsza Kolonnas, od kolumn dawnej świątyni, widocznych zdaleka, stanowi południową kończynę Attyki — najdalej na wschód wysuniętą część stałego lądu Grecyi, a zarazem kończynę gór Laurionu, od których niewiele zagięte dzieli go siodło. Od strony morza wznosi się on jako prostopadła, poszarpana ściana skalna, u góry nawet znaczny odłam gładzi zwisa nad przepaścią. Jedna z pań śmielszej natury stanęła na gładzi, a gdy ją przestrzegano, że może runąć w przepaść, odrzekła: *Unkraut verdirbt nicht*. I rzeczywiście nie urwała się skała, o którą rozbijały się gnane silnym powiewem wiatru fale morskie.

Wokoło nas czarowny roztaczał się widok. Od strony północnej wznoszą się głośnie już w starożytności bogactwem kruszców góry Laurionu.

Tam na skał wierzchu, u ścieku poników,
 Błyszczy się róża, sułtanka słowików.
 Jej brzmia pochwały kochankowie leśni,
 Ona rumieńcem dziękuje za pieśni.
 Śliczna i skromna królowa ogrodów,
 Nie tknięta wihrem, nie zwiędła od chłodów,

Nie znając naszych zim niebezpieczeństwa,
 Kwitnie świeżością wiecznego panieństwa.
 Balsamy, których niebo jej udziela,
 W wonnych kadzidłach ku niebu odstrzela,
 Niebo wzajemnie codzień jej użycza
 Świetnych kolorów swojego oblicza.
 Tam w polu tyle jest kwiecica dla wianków,
 Tam w lasach tyle cienia dla kochanków,
 Tam grotty dla nich ciosane umyślnie... ¹⁾

Z trzech innych stron rozlało się morze, z którego liczne wynurzają się wyspy. Tuż prawie u stóp naszych i tylko wąską cieśniną od przyładka oddzielona, znajduje się mała, skalista wysepka Gaïdharonisi, dalej wprost niewiele od niej większa Hagia Georgios; od zachodniej strony widnieje największa z wysp Saronijskiej zatoki, Egina, nieco dalej, ku południowi na tle argolskiego półwyspu rysuje się Poros, a z po za przyładku Skyli, kończącego argolski półwysep wygląda Hydra; od wschodu najbardziej zbliżyła się do stałego lądu wyspa Makronisi, w starożytności zwana Heleną, bo tu, według podania, miał się zatrzymać Parys, wprowadzający z nad wód Eurotasu do ojczystej Troi piękną małżonkę króla spartańskiego, Helenę. W niedalekiem z Heleną sąsiedztwie znajduje się Keos (dziś Zea), zaś więcej w stronie południowej widać Kythnos i Seriphos.

Wyspy szczęśliwe, w każdej porze roku
 Zarówno miłe i sercu i oku!
 Gdy was przychodzień z gór Kolonny wita,
 Wraz nagły urok źrenice mu chwyta
 I myśl pogrąża w dumy tajemnicze.
 Tu szklane morza cichego oblicze,
 Na falach drobnych, jak uśmiechu dołki,
 Gór okolicznych odbija wierzchołki,
 Strzegące brzegów, z którymi łagodnie
 Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.

¹⁾ Byron: *Giaur*. Tłómaczenie Mickiewicza. *Pisma*, t. IV, str. 7—8.

Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliznie
 I złamie szyby na modrej płaszczyźnie,
 I kwiecie z brzoza przyniesione miota:
 Jakaż w tym wietrze wonia i pieszczota! ¹⁾

Niedługo jednak pieścić można było oko widokiem, bo dany świstawką przez dowódcę wyprawy sygnał, powoływał uczonych gromadę na wykład, którego przedmiot stanowiły gruzy świątyni.

Od bardzo dawnych czasów na wierzchołku przylądka zbudowano świątynię, poświęconą Pozejdonowi, bożkowi morza. Wspomina o niej już Homer. Kult Pozejdona ustąpił z czasem kultowi Ateny, kiedy Ateńczycy stali się panami kraju. Tę starą budowę z porosu (t. j. kamienia wapiennego) zburzyli, zdaje się, Persowie w czasie najazdu na Attykę. W kilkadziesiąt lat później — może za Peryklesa, lub w r. 413, kiedy po obsadzeniu Dekelei przez Spartan (w peloponeskiej wojnie) wzniesiono tu warownię — odbudowano także świątynię, tylko o wiele wspanialej, bo z marmuru. Materiału z dawnej budowy użyto na fundamenta i podmurowanie. Nowa świątynia w stylu doryckim należała do rzędu t. zw. peripterowych budowli, t. j. otoczonych wokół kolumnadą. Długość jej wynosiła 30 m., szerokość 13½ m. Boki podłużne miały po 13, poprzeczne po 6 kolumn żłobkowanych (po 16 kanelur czyli żłobków — zamiast zwyczajnych 20 — może ze względu na to, aby z morza lepiej były widzialne).

Ząb czasu zniszczył ten wspaniały przybytek bogini Ateny. Zachowały się tylko fundamenta i 11 stojących kolumn, których z końcem XVII stulecia było jeszcze 19, a z początkiem naszego 14. Na porozrzucanych wokół szczątkach widać ślady dawnych rzeźb, które już tak zwietrzały, że nawet postaci dokładnie odróżnić niepodobna i dlatego nie zabrano ich do muzeów. Żeglarze i podróżni wykuwali tu swoje nazwiska, a między innymi odczytać można także imię Byrona.

¹⁾ Byron: *Giaur*. Tłóm. Mick. IV, 7.

Minał czas, przeznaczony na zwiedzenie ruin Sunionu, rzesza podróżnych zaczęła spuszczać się ku zatoce, gdzie spokojnie wyczekiwała naszego powrotu „Iris,“ obok której — niby Adonis — zarzucił kotwicę piękny yacht angielski, wiozący na swoim pokładzie właściciela z rodziną. Przybiły do brzegu łodzie i powiozły nas na pokład „Irydy.“ Podniesiono kotwicę. Zawarczały koła i statek pożegnawszy swojego towarzysza, ruszył w dalszą drogę. Po opłynięciu przylądka zwrócił się na północ i pomiędzy wschodniem wybrzeżem attyckiego półwyspu a zachodniem długiej wąskiej wyspy Heleny zdażał obok Laurionu ku Thorikos.

Góry Laurionu, widoczne z przylądka Sunion, odsłoniły nam się teraz z innej strony. U ich stóp rozsiadło się dzisiaj górnicze miasteczko tejsamej nazwy. Już w starożytności były tu bogate kopalnie srebra, które się od południowego wybrzeża parę mil ku północy, aż do miasta Thorikos, rozciągały. Przed Themistoklesem, czystym dochodem kopalń opędzano publiczne wydatki, a resztę rozdzielano pomiędzy obywateli. Pozostawała zwyczajnie tak znaczna kwota, że na każdego obywatela przypadało po 10 drachm. Themistokles, jak wiadomo, przeprowadził uchwałę, że dochód z kopalń obracano na budowę okrętów. Do eksploatacyi używano wyłącznie niewolników. Sposób dobywania kruszców był podobny jak to i dziś jeszcze dość często się dzieje; kopano szachty i sztolnie, rudę zaś, metal zawierającą, w koszach wynosili niewolnicy na barkach. Jak rudę tę przetapiano, nie wiemy. Z upadkiem politycznej świetności Aten, upadały i kopalnie, zwłaszcza, że wyczerpywały się pokłady srebra, a w wiekach średnich nawet słuch o nich zaginął. Dopiero w nowszych czasach zabrano się na nowo energicznie do eksploatacyi — głównie ołowiu i galmanu. Prawie cały teren kopalniany znajduje się obecnie w ręku dwóch towarzystw: jedno krajowe „Société des usines du Laurium,“ drugie francuskie „Compagnie française des mines du Laurium.“ W zatoce lauriońskiej panuje ożywiony ruch, a nadto kolej żelazna łączy kopalnie z Atenami. Ale oto ucichł szum wody, uderzanej potężnemi skrzydłami śruby okrętowej, parowiec zwolnił bieg i tylko siłą bezwładności podpłynawszy jeszcze spory kawałek, zarzucił naprzeciw Thorikos kotwicę.

Thorikos było jednym z 12 najdawniejszych miast Attyki i miało sławę jako siedziba Kephalusa. O tym to Kephalusie starzy mieszkańcy Attyki taką opowiadali sobie historyjkę. Był on synem Hermesa i słynął jako namiętny i zawołany myśliwy. Z piękną małżonką swoją Prokris, jedną z córek Erechteiosa, ku czci którego na szczycie ateńskiej Akropoli wznosiła się świątynia, poprzysięgli sobie dozgonną miłość i wierność nawet na ten wypadek, gdyby los w jakikolwiek sposób ich rozdzielił. Zawistna bogini losu wnet wierność pięknej małżonki wystawiła na próbę, pożądliva bowiem i wrażliwa na piękność męską Eos (Aurora-jutrzenka) porwała dziarskiego i nadobnego strzelca, gdy wczesnym rankiem w górach uganiał za zwierzyną — zaledwie po upływie dwóch miodowych miesięcy. Daremne były pokusy bogini brzasku, wierny danej przysiędze Kephalus, w tęsknocie i żalu pogrążony, myślał tylko o swojej ziemskiej małżonce. Gniewna początkowo Jutrzenka udobruchała się pozornie, obdarzyła Kephalusa wolnością, postanowiła jednak się zemścić i pokazać wiernemu małżonkowi, że jego stałość jest bez wzajemności. Namówiła go tedy, aby przybrawszy inną postać i zabrawszy z sobą bogate i błyszczące dary — bo snąc, jako niewiasta, wiedziała, czem najlepiej ująć można serce kobiety — udał się w konkury do swej małżonki. Skutek był ten, że piękna Prokris, zapomniawszy o strzelcu i przysiędze, przyrzekła oddać rękę nieznanemu wielbicielowi. Kephalus dał się teraz poznać, a niewierna małżonka uciekła na Kretę.

Dotąd opowiadanie to ma dużo podobieństwa do naszej Świtezianki, z tą wszakże różnicą, że więcej od Greka wobec płci nadobnej rycerskości mający Litwin, winę złamania przysięgi zwała na strzelca, ulegającego pokusie Świtezianki-Ewy. Greckie podanie dopiero w drugiej części stałość męską wystawia na próbę i, rzecz dziwna, nie piękność cielesną, nie widoki na zmysłowe rozkosze mają być sidłami, w któreby wpadł dziarski strzelec, lecz namiętność jego myśliwska i żądza zdobycia sobie sławy nieśmiertelnej, jako myśliwy.

Piękna Prokris, chodząc na łowy w górach kretajskich w towarzystwie bogini łowów Aryadny, nie zapomniwała o Ke-

phalusie, i z darami, jakie od przyjaciółki-bogini otrzymała, t. j. z psem wiatronogim i oszczepem, niechybiającym nigdy celu i wracającym do ręki właściciela — przybyła niepoznana do Thorikos i przyłączyła się do męża, uganiającego w lasach za dzikim zwierzem. Wnet miał Kephalus sposobność poznać zalety psa i oszczepu i zapragnął je posiadać. A gdy piękna łowczyni oświadczyła mu, że tylko z jej ręką może stać się posiadaczem owych nieocenionych klejnotów myśliwskich, które miały podnieść i unieśmiertelnić jego sławę, zgodził się na propozycję. Prokris odsłania swoje *incognito*. Następują usprawiedliwienia i wyjaśnienia, czuła para przebacza sobie wzajemnie. Lecz długą i przykładną zgodę i wierność małżeńską popsuła budząca się w duszy Prokridy podejrzliwość, która stała się przyczyną jej tragicznego zgonu. Kephalus miał zwyczaj, kiedy odpoczywał w cieniu drzew po męczących łowach, wzywać ochładzające powietrze (Aura), aby złagodziło żar w jego piersiach. Doniesiono Prokridzie, że czule wezwania męża odnoszą się nie do powietrza, lecz do nimfy leśnej, przeto postanowiła go śledzić. Kiedy znudzony łowami strzelec zwyczajem swoim w cieniu drzew odpoczywał, ochładzające powietrze przywołując, odpowiadały w zaroślach jego słowom ciężkich westchnień głośy. Kephalus myślał, że zwierz dziki kryje się w krzakach i rzucił w tę stronę nigdy niechybiającym oszczepem, a ten przeszył pierś podejrzliwej małżonki.

Takie podanie wiąże się z starem, warownem miastem Thorikos, po którym z biegiem czasu nawet ślad wszelki zaginął. Dziwnie też brzmiały przed parą laty podane do wiadomości ogółu wieści, że na wybrzeżu Attyki w pobliżu Laurionu odkryto całkiem nieznane dotychczas miasto. A przecież w wiadomościach tych nie było przesady, bo istotnie w odkopanych u wierzchołka góry mieszkaniach ludzkich, w ruinach teatru i nieznacznych szczytkach świątyni i murów warownych dopatrzono się resztek dawnego miasta Thorikos.

Zobaczmy te resztki, bardzo dawne pamiętające czasy. Naprzeciw dużej zatoki Porto Mandri, w której stanął nasz okręt, wznosi się odosobniona góra Weleturi, 145 m. wysoka, pokryta trawą i kolczastymi krzewami, a jej szczyt wieńczy

naga skała. Nieco wyżej, niż w połowie wschodniego stoku góry, znajduje się niedawno odkryty grób kopulasty. Tego rodzaju grobowce murowane w ziemi w kształcie kopuł z boczną galerią, stanowiącą wejście do grobowca, pochodzą z najdawniejszych czasów. Ten, do którego po improwizowanych z kamieni schodach spuściło się całe podróżne towarzystwo, przypomina grobowce mykeńskie kształtem i wielkością, ściany jednak, z drobnych ułożone kamieni, na dawniejszy wiek wskazywać się zdają. Na spodzie trzy podłużne amy wskazują miejsca, gdzie spoczywały kości trzech odkopanych nieboszczyków, a dwie małe celki przy ścianach były zapewne przygotowane na pomieszczenie innych członków rodziny. Drugi podobny grobowiec odkryto niedawno na północnem, siodłem z górą Weleturi połączonem wzgórzem. Tuż prawie pod samym wierzchołkiem góry Weleturi odkopano fundamenta i ruiny domów, należących do jednej z najstarszych osad w Grecyi. Było to właśnie pierwotne Thorikos, otoczone w r. 409 przed Chr. warownym murem dla strzeżenia lauriońskich kopalń. Późniejsze miasto widać rozszerzało się u stóp góry, bo na najniższym jej stoku widać ruiny teatru, a na dolinie odkryto dwa rzędy filarów dawnego stoa, czyli rzymskiej bazyliki. W ruinach teatru można odróżnić dwie fazy jego rozwoju: jedna dawniejsza, ma swój początek może w V wieku, drugą późniejszą do wieku IV odnieść należy. Teatr jest murowany i jako taki stanowi najdawniejszy zabytek teatrów greckich. Konstrukcyja jego bardzo prosta. Półkolisty mur zewnętrzny, od zewnątrz z dużych, od wewnątrz z drobnych złożony głazów, zamyka cały szereg zniszczonych dziś zupełnie amfiteatralnych siedzeń (*τὸ κοίλον*), do których dochodziło się po dwóch rzędach schodów. Za murem obwodowym od strony góry widzimy wąską bramę, stanowiącą wejście do teatru od tylnej strony. Sceny, zdaje się, nie było, tylko orkiestra ¹⁾,

¹⁾ Orkiestrą zwano w teatrach greckich większą, zaś w rzymskich mniejszą przestrzeń kolistą przed siedzeniami, w środku której stał ołtarz Dyonizosa (Thymele). Przednią część koła zajmowała scena. Jej granicę od strony widzów stanowił najczęściej zewnętrzny bok wpisanego w koło kwadratu,

osłonięta od przodu wysokim murem. Obok stała mała świątynia, przypierająca do orkiestry, poświęcona, jak wskazują wykopaliska, Dionizosowi.

Zaraz poniżej ruin teatru, wiedzie wygodna droga, która nas zaprowadziła nad brzeg morski, ku łodziom. Zmierzch zapadał, gdy zasiedliśmy do pierwszego na „Irydzie“ obiadu. Można sobie wyobrazić, jak smakował po dwóch wycieczkach, t. j. na Sunion i Thorikos, zwłaszcza że od śniadania sporo upłynęło czasu.

Kuchnia na „Irydzie“ nie najgorsza, nie da się jednakowoż porównać z kuchnią na okrętach Lloyda — nie tyle co do ilości, jak raczej co do jakości podawanych potraw. W ogólności na okrętach Lloyda zarówno na pokładzie, jak w salonach i kabinach widać wzorowy ład, porządek i czystość, czego o okrętach greckich powiedzieć nie można. Przekonaliśmy się o tem niebawem bardzo namacalnie.

Obiad skończył się dosyć późno, tak, że wnet po czarnej kawie, którą podano na pokładzie, zaczęto się rozchodzić do kajut. Udałem się i ja do kajuty, a skonstatowawszy, że jestem między „swoimi“, bo prócz mnie, było tam umieszczonych trzech innych towarzyszy podróży, mianowicie jeden Rusin, jeden Czech i jeden Żyd, wydrapałem się na łóżko drugiego piętra. Znużony wycieczkami, zasnąłem wkrótce, lecz nie na długo, bo zbudziły mnie ukąszenia niewielkich zwierzątek, koloru brązowo-ceglastego. Na nieszczęście nawet polowania na nie urządzić nie było można, gdyż w kajutach zapalenie światła wzbronione. Bezsennie więc mijały godziny, tłumnie mieszały się w głowie wspomnienia ze stron rodzinnych, przerwane dopiero warczeniem kół okrętowych, gdy o godzinie duchów statek z Thorikos ruszył ku dolinie maratońskiej.

a od zewnątrz równolegle do tego boku poprowadzona styczna koła. Przednią część sceny zwano *proskenion*, boczne skrzydła *paraskenia*. W orkiestrze odbywały się produkcje chóru i wtenczas zapewne dawano drewnianą podłogę, podczas gdy zwyczajnie orkiestra wysypana była piaskiem (*χοιόστρα*).

II.

Przed wschodem słońca wyszedłem na pokład. Jasny niebios firmament zasłoniły mgły poranne, a chłodny powiew wiatru północnego przypominał nasze zmienne dni kwietniowe. Dwanaście piskliwych mew, okrążających okręt, przywiodło mi na myśl 12 sępów Remusowej wróżby, która nieszcześnie spór między braćmi sprowadziła. W oddali majaczyła już dolina Maratonu, otoczona wieńcem nagich gór, odzianych tylko lekką mgłą osłoną.

O godz. 7-ej rano okręt w pobliżu płaskich maratońskich wybrzeży zarzucił kotwicę. Wskutek mielizn, trudno przychodziło nam wylądować, dopiero jadący na osiołku Grek wskazał miejsce głębsze, gdzie łodzie do samego wybrzeża przybić mogły.

Od miejsca wylądowania do miejsca, gdzie stoczono bitwę, droga prowadziła początkowo wzdłuż piaszczystego wybrzeża. Po lewej stronie szumiące i pieniające się fale morskie dochodziły prawie do naszych stóp, z prawej zaś rozciągały się pola uprawne, zasiane jęczmieniem, winnice, łąki przeplatane małymi jeziorkami i moczarami.

Zwróciwszy się następnie na prawo w głąb kraju, stanęliśmy niebawem u stóp więcej niż 10 metr. wysokiej, a 200 kroków w obwodzie mającej mogiły, usypanej na cześć poległym w bitwie z Persami Ateńczykom. Forma kopca, zwanego „Sorós,“ nierówna wskutek przedsiębranych, dwukrotnych poszukiwań. Pierwszy kopał Schliemann i na podstawie znalezionych tu kamiennych grotów do strzał i innych tym podobnych rzeczy, chciał zaprzeczyć przywiązaną do kopca starej tradycyi, twierdząc, że pochodzi on z czasów przedhistorycznych, a nie z czasów wojen perskich. Schliemann jednak kopał za płytko, bo kopał w porze, kiedy najbliższa okolica wokoło kopca zalana była wodą, dlatego zaraz następnego lata zamierzał naczelny eforat wykopalisk przedsięwziąć nowe poszukiwania, ale te nie przysły do skutku i dopiero Towarzystwo archeologiczne greckie, kopiąc głębiej niż Schliemann, trafiło na pokład, gdzie było wiele popiołu,

kości i szczątek urn z czasu maratońskiej bitwy. Dało to niezbity dowód, że mogiła kryje popioły poległych tu w walce z Persami Greków. Ośmiu robotników greckich zastaliśmy zajętych pracą około wyrównania szczyby w kopecu, zrobionej wskutek najnowszych poszukiwań. W dużych koszach nosili oni ziemię na barkach, jak za czasów homerowskich. Pomiędzy rzadkie zarośla wydrapałem się na wierzchołek kopca. Niezmiernie piękny roztworzył się przed moimi oczyma widok, tem piękniejszy, że dodawały mu uroku odtwarzające się żywo w fantazyi wspomnienia, że ziemia, na której stoje, usypana rękami wdzięcznych ziomków, kryje popioły bohaterów, poległych w nierównej, a przecież zwycięskiej walce, w obronie zagrożonej ziemi ojczystej, zagrożonego miasta i zagrożonej wolności, że kryje szczątki tych, na których obliczach, gdy opuszczali progi domów rodzinnych, wypisane było hasło: „Śmierć albo zwycięstwo!“

... My w nieszczęściu razem!

Albo wytępić wrogów tem żelazem,

Lub za najświętszą wielkich bogów wołą

W grobie się wolni schronim przed niewolą.

Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,

Lub bladeść trupia — nie wstydu rumieniec!...

Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,

Niech sobie powróż okręci o szyję,

Niech własną wolę na wieki okielza;

Pan niedaleko — niech do niego pełza

I tam — głaskany a potem wzgardzony,

Niechaj na progach wybija pokłony,

Niech jak pies głodny czółga się bez końca

Za pańską nogą, która nim potraça...

Lecz takich niewielu było, a chociaż ich nie brakło, i nawet byli w porozumieniu z wypędzonym tyranem Hipiaszem, który znajdował się w obozie perskim, czółgając się już za pańską nogą, to przecież wobec powszechnego zapалу musieli umilknąć. Zwyciężyła rada Milecyadesa, aby w otwartem polu stawić czoło ómie nieprzyjaciół,

Którą do boju popędzają biczem,
Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem!

Było to na wiosnę r. 490 przed Chr., a więc lat temu 2385, kiedy w portowych miastach Cylicyi zebrała się flota perska, złożona z 600 okrętów, a zabrawszy na pokład 100.000 doborowej irańskiej piechoty i 10.000 jazdy, ruszyła przez morze Egejskie wprost do Attyki, aby ukarać Ateńczyków za pomoc, daną mało-azyatyckim Grekom. Na czele stali: Artafernes, bratanek króla Dariusza, i Datys, dowódzca Medów. Po drodze opanowali Persowie wyspę Naxos. Miasto legło w gruzach, część ludności schroniła się w góry, resztę uprowadzono, jako jeńców wojennych. Drugą stacją, gdzie się Persowie zatrzymali, była Eubea. Położone na tej wyspie miasto Eretryę zburzyli Persowie do szczętu za to, że mieszkańcy odważyli się również wraz z Ateńczykami nieść pomoc swoim pobratymcom na wybrzeżu Azji Mniejszej. Tensam los, co Naxos i Eretryę, miał spotkać Ateny. Persowie za radą Hippiasza postanowili napaść miasto od strony lądu, wysadzili więc swoje wojska na równinie maratońskiej i rozłożyli się obozem, oczekując zapewne, czy nie połączy się z nimi ludność górską Attyki, z którą Hippiasz nawiązał był układy. Stało się jednak inaczej, albowiem zamiast spodziewanych sprzymierzeńców stanęło naprzeciw Persów 10.000 gotowych do boju ateńskich hoplitów.

Piękną dolinę maratońską otacza z trzech stron wieniec gór, z czwartej morze. Od południa dochodzą niedaleko morza lesiste podnóża pasma Pentelikonu. Tędy prowadziła w starożytności i dziś prowadzi droga do Aten; druga zaś wiedzie wzdłuż północnych stoków Pentelikonu doliną Wrana, stanowiącą północno-zachodnie przedłużenie maratońskiej równiny. Od strony północnej bieleją pośród zieleni murowane domy wsi Maratonu, od której cała dolina nosi nazwę.

Nie mamy dokładnych wiadomości, którą drogą przybyło wojsko ateńskie, jest wszakże rzeczą prawdopodobną, że doliną rzeki Kefissosu i wzdłuż północnego stoku Pentelikonu do doliny Wrana i tu w miejscu, gdzie ona się łączy z maratońską — na zachód od dzisiejszego miasteczka zajęło na wzgórzach w świętym gaju Heraklesa obronne stano-

wisko, wzmocnione jeszcze poczynionemi zasiękami dla zabezpieczenia się przed nieprzyjacielską jazdą. Kiedy trzeciego dnia przybyło w pomoc 1000 Platejczyków, postanowiono następnego dnia stoczyć bitwę.

Tymczasem, jak się zdaje, Persowie, mając zamkniętą drogę do Aten, zdecydowali się na zmianę planu w tym kierunku, aby opłynawszy przylądek Sunion, napaść od strony portowego miasta Faleronu na ogołoczone z obrońców Ateny. Już prawdopodobnie całą konnicę i część wojska pieszego wsadzono na okręty, kiedy Milcyades, któremu oddano naczelne dowództwo, dał znak do walki (12 października).

Najznakomitszy z pomiędzy historyków greckich, Herodot, w 40 lat później taki pozostawił nam opis tej bitwy: „Szyk bojowy ateński był tak długi, jak medyjski, lecz w centrum miał tylko kilka rzędów w głąb, wskutek czego był tu najsłabszy; zato oba skrzydła były liczebnie najsilniejsze. A kiedy się ustawiono i ofiara pomyślną zapowiedziała wróżbę, dano znak, a Ateńczycy w pełnym biegu rzucili się na barbarzyńców. Dzielili ich przestrzeń nie mniejsza, jak 8 stadyów (t. j. około 1500 kroków). Persowie, widząc nadbiegających pędem Ateńczyków, gotowali się na ich przyjęcie i myśleli, że jako szaleni lecą na własną zgubę, bo widzieli, że ich słabych sił nie zasłaniała jazda, ani strzelec, a do tego nacierali w pełnym biegu. Tak sądzili barbarzyńcy. Lecz Ateńczycy, gdy w zwartych szeregach na barbarzyńców natarli, waleczyli po bohatersku. Byli oni bowiem, o ile wiemy, pierwsi ze wszystkich Hellenów, którzy w biegu nieprzyjaciela zaatakowali i pierwsi, którzy znieśli widok medyjskiego stroju i ubranych w strój ten wojowników, przedtem bowiem już samo imię Medów napępniało Hellenów strachem. Walka trwała długo. I zwyciężyli w centrum barbarzyńcy, gdzie stali Persowie i Sakowie i przełamali szyk bojowy ateński i pędzili w głąb kraju. Lecz na obu skrzydłach zwyciężyli Grecy: Ateńczycy na prawem, a na lewem Platejczycy. A zwyciężywszy, pozwolili pobitym nieprzyjaciołom spokojnie uciekać, sami zaś ściągnęli oba skrzydła i waleczyli przeciwko tym, którzy środek przełamali. I Ateńczycy odnieśli zwycięstwo. A kiedy Persowie uciekali, ścigali ich i zabijali, aż dotarli do morza. Teraz pragnęli ogień

wzniecić i zabrali się do okrętów. Wśród zamięszania poległ naprzód polemarch Kallimachos, który bardzo dzielnie walczył, zginął też pułkownik Stesilaos, syn Trasylosa, i Kynegiros, syn Euphoriona (a brat Aischylosa), któremu odcięto rękę, gdy schwycił okręt. Poległo prócz tych jeszcze wielu znakomitych Ateńczyków. Siedem okrętów zabrali Ateńczycy, reszta odpłynęła na otwarte morze.“

Tal, opisuje bitwę Herodot. Straty Persów podaje na 6400, podczas gdy Ateńczycy, prócz niewolników i Platejczyków, mieli 192 zabitych. Zwłoki tych bohaterów pokryła wspomniana już poprzednio mogiła, a w miejscu, gdzie się wznosi, toczyć się musiała zapewne najgorętsza walka.

Niedługo mogli wypocząć Grecy po zwycięstwie, bo Milcyades odgadł odrazu zamiar Persów i zostawiwszy na pobojowisku Arystydesa z oddziałem wojska, aby pogrzebał poległych, sam zaraz tegosamego dnia po południu ruszył spiesznie na obronę zagrożonej stolicy. Późnym wieczorem stanęło wojsko przed bramami Aten. Ateńczycy wiedzieli już o zwycięstwie. Wysłany po bitwie goniec przyniósł tę radosną wieść. Przybycie jego do miasta kreślimy tu słowy Kornela Ujejskiego:

W Atenach pusto. Wśród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec, i niewiasta.
A kto mógł, patrzył w trwożnym niepokoju,
Czy nie obaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać? I słońce zagasło
I gwiazdy... Cyt — cyt; coś w pobliżu wrzasło...
Prędkimi kroki ktoś po bruku bije
I woła: „Tehu! tehu! Głosu! Grecya... żyje!
Cześć! Cześć! Mileyades! Tehu! Zwycięstwo z nami!“
Kobiety z domów wyszły z pochodniami...
Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył
I padł wołając: „Zwycięstwo!“ Już nie żył.
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję; całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany!

Na drugi dzień rano zawinęła flota perska do zatoki falerońskiej, lecz Persowie zobaczywszy zwycięskie zastępy Ateńczyków, ustawione na wybrzeżu w szyku bojowym, nie śmieli wylądować i odplynęli.

Zwycięstwo Greków zatem było zupełne, a walka maratńska, to nie mała potyczka, jak ją niektórzy nowsi historycy starają się przedstawić, ale formalna bitwa. „Ateńczycy — mówi Hertzberg ¹⁾ — mogli zaiste być dumnymi ze swojego zwycięstwa. Po raz pierwszy, odkąd Persowie i Hellenowie z bronią w ręku na siebie godzili, wojsko greckie nie tylko że stawiało opór, ale odważyło się działać z czepnie i spędziło z pola walki ogromną przewagę Persów. Ateny odniosły to zwycięstwo własnymi siłami, wsparli ich tylko Platejczycy. Była to walka zaszczytna, nie pomogła im ani zdrada, ani ślepe szczęście. Geniusz Milcyadesa, znakomite zdolności innych wodzów i wyborny duch wojowników piękny odniosły tryumf. Ale o wiele więcej, niż taktyczne zwycięstwo, wypadł na korzyść Ateńczyków moralny element. Oni to podjęli bój, gdy Hellenów przytłaczał powszechny, ubezwładniający brak odwagi, gdy katastrofa etrejska osłabiała ducha, a stanowisko Spartan było co najmniej niepewne. I dlatego teraz uchodziły waleczne, aureolą zwycięstwa otoczone, demokratyczne Ateny, jako druga potęga w Grecyi, co więcej, jako podpora i ognisko całego narodowego oporu przeciw milionom wojsk i flotom całego wschodu.“

Dziwne budzi uczucie owa samotna, odludna mogiła — dziś jedyny współczesny świadek zdarzenia z dalekiej starożytności, mogiła usypana bohaterom z ziemi, zroszonej obficie krwią wrogów i krwią własną. Ale nie czas popuszczać fantazyi wodze, ulatać myślą w odległe czasy, szukać nasuwających się porównań z naszej przeszłości dziejowej i przypominać sobie kurhany, kryjące popioły naszych rycerzy, poległych za świętą sprawę. Nie czas na grobowcu umarłych martwe przywoływać dzieje, bo znak dany do odwrotu. Uszczknijmy parę kwiatów z mogiły, zabierzmy parę skorupek z urn na pamiątkę i spieszmy na pokład okrętu, który

¹⁾ *Geschichte von Hellas und Rom*. I, 175.

przykuty łańcuchem do dna morskiego, chwieje się silniej, niż zwykle, co było dowodem, że morze zaczyna być niespokojne. I rzeczywiście, gdy przyszliśmy nad wybrzeże, fale uderzały potężniej, niż przedtem, a łodzie, któremi na okręt się przeprawialiśmy, skoro odbiły od brzegu, wznosiły się wysoko na grzbietach fal i znów opadały, przypominając nam huśtawki z lat dziecińczych.

O godz. 10-ej odbił od brzegu okręt, a za pół godziny zasłonił nam równinę Maratonu skalisty, wąski, trzema falami podnoszący się półwysep Kinosura. Mając po jednej stronie misternie rzeźbione wybrzeża Attyki, po drugiej górąmi zasłaną wyspę Eubeę, płynęliśmy ku Rhamnos.

Obok okrętu wodnych kurek stada
 Kąpiąc się w falach, dążą ku północy;
 Tam i myśl moja wrywa się rada,
 Lecz lecieć z niemi nie jest w mojej moey.
 O, lećcie ptaki do polskiej krainy
 I pozdrowienie nieście ukochanej
 Od tego, który zdala od rodziny
 Powierzył losy swe fali wezbranej.

Donośny głos dzwonka przerwał marzenia, wzywając na śniadanie. Wśród głośnej pogawędki i gwarnych dysput naukowych, szybko zmieniały się półmiski, wypróżniały butelki czerwonego wina solońskiego, przeplatane karafkami białego „krasi,” zmieszanego zwyczajem greckim z żywicą, a kiedy wyszliśmy na pokład, już okręt stał na kotwicy, łodzie zaś spuszczone kołysały się obok okrętowych schodków, po których niebawem zaczęła schodzić wesola drużyna uczonych, aby na ląd się wydostać i pieszo podążyć do ruin Rhamnosu, odległych prawie o dwie godziny drogi od miejsca wylądowania.

Licha ścieżyna wiodła przez kamienistą dolinę, zamkniętą z obu stron stokami gór pokrytych zaroślami, po nad któremi zrzadka wznosiły się rozłożyste pinie. Przebywszy niezbyt stromą przełęcz, przedostaliśmy się do drugiej, szerokiej i pięknej doliny, pokrytej zielonością. Na polach, źle i niedbale uprawnych, zasianych częścią jęczmieniem, a czę-

ścią leżących odlegiem, rozsiadły się nie rzadko „ciche grusze“ i oliwy. Napróżno szuka oko domów mieszkalnych, wioski, widnieje tylko na stoku góry parę pasterskich szałasów z drobnych ułożonych kamieni, lub z gałęzi krzewów bez drzwi i okien, wobec których szałas naszych tatrzańskich górali — to istne pałace. Ale bo też i piękne doliny i bujną trawą pokryte hale, na których nasz góral wesołe nuci piosnki, pilnując trzód swoich, są jego własnością, tam zaś należą one bądź do rządu, bądź do właścicieli większych posiadłości. U przeciwnego krańca doliny ścieżka poczęła się wznosić ku górze, a po małej chwili ukazały się nam na wzgórzu ruiny świątyń, odbite malowniczo na tle skalistych, białymi płatami śniegu pokrytych gór Eubei. Wierzchołek najwyższy pasma górskiego Eubei, zwanego Delphi, cały śniegiem był pokryty.

Ruiny, do których przybyliśmy, stanowiły resztki dwóch starożytnych świątyń, stojących niegdyś tuż obok siebie. Zdaje się, że obydwie poświęcone były Temidzie. Mniejsza z nich, o wiele starsza, pochodzić może z VI wieku przed Chr., jak na to wskazują warstwy drobnych kamiaków, poukładane pomiędzy dużymi, obrobionymi głazami, z których wymurowana cella, t. j. miejsce, odpowiadające dzisiejszej nawie kościelnej. Długość jej z przedsionkiem wynosi 10·70 m. a szerokość 6·10 m. Kolumn żadnych nie było, nie znaleziono też śladu kamiennych belek, dach więc prawdopodobnie był drewniany. Mury celli zachowały się wcale dobrze i mają znaczną wysokość, podczas gdy przy innych tego rodzaju budowlach są prawie zupełnie zniszczone.

Kiedy Persowie tę świątynię zburzyli, wybudowano nową, o wiele większą i wspanialszą. Jestto peripterowa budowla, która, zdaje się, w zupełności nigdy nie była wykończona, jak to wskazują kanelury (żłobkowania), wyrobione tylko mniej więcej na dwa całe długości u góry i u dołu kolumn, co w renesansie n. p. zachodzi niekiedy jako regula. Długość świątyni wynosiła 22·90 m., a szerokość 11·30 m. Po obu bokach podłużnych było po 12, zaś po poprzecznych po 6 kolumn z kamienia porosowego. Mury celli zupełnie zniszczone, pozostały tylko wysoko podmurowane fundamenta i kilka płyt podłogi.

Taki stan ruin, jak dzisiaj, jest dopiero od r. 1891, kiedy Towarzystwo archeologiczne greckie rozpoczęło tu poszukiwania. Znalezione między innymi zabytkami mniejszej wartości ogromnych rozmiarów posąg bogini Temidy, wykuty z jednego głazu marmuru, który Persowie mieli według podania tu ustawić, jako znak zwycięstwa. Widzieć można ten posąg w ateńskim muzeum.

Kamienista, dość stromo opadająca ścieżka, wiedzie od świętego okręgu Temidy do miejsca, gdzie w romantycznym położeniu tuż nad morzem wznosił się warowny gród Rhamnus, zwany dziś „Ebräokastro,“ czyli gród żydowski. Przyszła mi na myśl, kiedy ścieżyną na dół schodziłem, nasza tatrzańska perć z Gąsienicowych do Czarnego Stawu, którą niejednokrotnie przebyłem w gronie wesółych „Taterników.“ Dzikosć przyrody tasama tu i tam, a przecie jakżeż odmiennie ona na nas działa, jak innym głosem do duszy przemawia? I tu i tam usłyszysz tony przeciągle pasterskiej fletni, lecz o ileż milej brzmią dla naszego ucha swojskie dźwięki fujarki tatrzańskiej, niż więcej dzikie głosy pasterzy greckich.

Po 10 minutach drogi, na końcu głębokiego jaru, natrafia się na wyniosły wzgórek, spadający stromo ku morzu. Na jego wierzchołku zachowały się słabe ślady dawnego grodu. Tylko mury obronne lepiej zachowane, a zwłaszcza od tej strony, gdzie była brama. Miejsce, któredyś prowadziła droga do miasta, zasypane gruzem i głazami, z pośród których, podobnie jak i ze szczelin w murach, wyrastające krzewy zielone ożywiają dawno zamarłą przeszłość i łagodzą ponury obraz zniszczenia, jakie zrzucił ząb czasu i ręka ludzka.

Niedaleko za bramą był teatr, ale dziś ledwo rozpoznać można miejsce, gdzie była scena i siedzenia dla widzów, wyrobione z gliny, tak, jak w olimpijskim stadionie i dlatego zupełnie zniszczały. Porozrzucone w nieładzie złomki marmuru i okruchy dawnych rzeźb, świadczą o podjętych na tem miejscu ostatnimi czasy poszukiwaniach, których rezultat wcale do pomyślnych zaliczyć się nie da.

Ponieważ do odjazdu pozostawały nam jeszcze blisko dwie godziny, przeto całe towarzystwo rozprószyło się

w różne strony; jedni poszli oglądać na przeciwny stok góry świeżo odkopane stare grobowce, inni wygrzewali się na słońcu, a inni znowu usiedli na stromej skale nad brzegiem morskim i wpatrzeni w ciemny lazur morskiej otchłani, przysłuchiwali się szumowi fal, uderzających o poszarpane stopy skały. Do tych ostatnich i ja należałem.

Na stromym stoku góry, pośród dzikich tuj
 Usiadłem, zadumany wzrok puściwszy w dal;
 U stóp mych morskie fale wieczny wiodły bój.
 Echo potężnych razów od dalekich hal
 Odbite, potęgowało grozę spienionych wód szumu
 Straszniejszego od wrzasków zajadłego tłumu,
 Gdy krzyczał śmierć tyranom!...

Wtem niedaleki strzał w zaroślach zwrócił moją uwagę. Pobieglem w tę stronę, aby zaspokoić ciekawość myśliwską i zobaczyć lup, ale niebawem przekonał mnie dym, wznoszący się po nad gęste krzaki po drugiej stronie głębokiego parowu, że dostęp tam trudny, a może i niezbyt bezpieczny. Zatrzymałem się więc, ale nie mogłem się powstrzymać, by nie poświęcić chwil kilku miłym wspomnieniom z łowów w okolicznych naszych borach, by nie przywieść sobie na pamięć towarzyszy myśliwych i tych miłych w ich gronie w naszych kniejach spędzonych chwil — zdala od gwarów i swarów miejskich. Grecy wogóle są zapalonymi myśliwymi. Na wsi prawie w każdym domu znajduje się strzelba, pojedynka lub dwururka kabzlówka; zwierzyny jednak brak, bo raz, że za wiele myśliwych, a powtóre, że kraj zanadto pusty, by zwierz mógł się trzymać. Rzadko tylko spotkać można zajaca, częściej lisa, a w okolicach niektórych, gdzie wyjątkowo większe utrzymały się lasy, trafiają się sarny, hyeny, a nawet szakale. Za to w czasie przelotu jest wielka obfitość ptactwa, które też Grecy tłuką niemilosiernie. U nas był to czas najlepszego ciągu słonek, a ponieważ słońce zniżało się ku zachodowi, więc niejednen z towarzyszy zdążył właśnie na swoje stanowisko, a prezes drohobyckich Nemrodów rozniecał zapewne ogień na Zalesiu, by zwabić długodziubego ptaka.

Nie w nadziei zwabienia słonki, bo tam ciąg ich już minął, ale raczej dlatego, by tem żywiej przypomnieć sobie niejedną myśliwską pogawędkę przy ognisku, rozpalilem także ogień. Zaledwie suche gałęzie smolnych jałowców i tuj buchnęły silnym płomieniem, już dano znak do pochodu, bo z po za skalistego przylądka nadpływał nasz okręt. Spuściwszy się zwolna z góry i okrążywszy ją południową, wąską doliną, stanęliśmy nad brzegiem morza. Szum fal morskich, słyszany na górze, spotężniał, spienione bałwany rozbijając się o nadbrzeżne skały, pędziły daleko na brzeg, cofając się następnie, by z tem większą siłą znów powrócić. Rozpoczęła się żywa rozmowa nad tem, czy możliwą jest rzeczą przybić łodzie do brzegu. Niemal wszyscy zgodzili się jednomyślnie, że jestto niepodobieństwem, a tegosamego zdania był i kapitan okrętu, bo nie próbował nawet zbliżyć się do brzegu, tylko na pełnem morzu zawrócił statek i odpłynął napowrót do przystani tam, gdzie przed paru godzinami wylądowaliśmy. Nie było innej rady, jak wracać pieszo tąsamą drogą, którąśmy przyszli.

Słońce skryło się za śnieżyste pasma eubejskich gór, zmrok ciemny zapadał, gdy po nad nagie wierzchołki nadbrzeżnych przedgórz Pentelikonu wzniósł się księżyc i bladym światłem oblał dolinę, wskazując ścieżkę, wiodącą nas do okrętu. Wokoło panowała uroczyista cisza. Była to jedna z tych cichych, niezapomnianych nocy księżycowych, „gdy natura obchodzi uroczyste nabożeństwa swoje, gdy księżyc poświęca drżącą marzę po dolinach i wzgórzach kwiatem i ziołem szytych i zagląda srebrnym spojrzeniem w tajne głębie boru, świeci krzyżem na domach pańskich, mruga na szczytach grodów starych, gdy brylantem zapalając okienko pod strzechą niską drży w rosy kropelece na liściu zawieszonej. Doliny i góry, drzewa i jeziora, przybytki Boże i mieszkania ludzi, otulone tajemniczą fantazyą nocy, zasnęły i marzą, stając się jakby własnem widmem swoim, a tłumy skoczne iskier srebrnych płasają w potoku; więc i on śni o kąpiących się w nim rusalkach cudnych i przez sen coś mruczy; przez sen też całują się rozkochane kwiaty. Lekkie, rozwiewne obłoki, co niewiedzieć zkąd przyszły i dokąd

uchodzą, gadają śpiącej ziemi bajeczki czarodziejskie, a ona zapomina o troskach i znojach dziennych i śpi¹⁾.

Tak spała cała nadbrzeżna okolica, ukołysana światłem księżyca, a tylko natrętny wędrowiec głośnym gwarem prze-rywał uroczystą ciszę. Nawet fale morskie, niedawno wzbu-rzone na pełnem morzu, lekko tylko wzdymały się w głę-bokiej i dobrze osłoniętej zatoce, w której stał okręt.

III.

Nazajutrz, 18 kwietnia, wschód słońca zastał mnie już na pokładzie. Pogoda była prześliczna, niebo jasne, ani jedna chmurka nie zasłaniała firmamentu niebios. Okręt stał na kotwicy w pięknej, półkolistej przystani starożytnego miasta Eretryi na wyspie Eubei. Dziś na miejscu kwitnącego dawniej miasta, znajduje się licha wioska, zwana Nea-Psara, lub powszechniej Aletria.

Stara Eretrya dwukrotnie uległa zniszczeniu. Po raz pierwszy zburzyli miasto i ludność po największej części uprowadzili do niewoli Persowie w 490 r. w czasie wyprawy Datysa i Artafernesa na Grecyę, a gdy następnie znów podniosło się z gruzów i szybko zakwitło po raz wtóry, zdobyli je i złupili Rzymianie w r. 198 przed Chr. Od tego czasu miasto już się nie podniosło. Kilkadziesiąt ułamków rzeźb i napisów, zebranych w muzeum, ruiny teatru i ślady murów, opasujących niegdyś miasto — to wszystkie zabytki, jakie tu dziś oglądać można. Muzeum pomieszczono w małym domku, a obok niego cmentarz. Gdy na jednym z kamieni grobo-wych usiadłem i notowałem sobie niektóre napisy, dziwnie jakoś zrobiło mi się swojsko. Głośnemu świegotowi jaskółek, zajętych budową gniazdek na poddaszu, odpowiadało szcze-biotanie wróbli, a z niedalekiego pola, zasianego jęczmieniem, dolatywał głos przepiórki. Kto wie — pomyślałem sobie — czy w tym gwarnym jaskółczym chórze niema jakiej mojej dobrej znajomej, czy która z nich może nie wychowała się w gniazdku, ulepionem pod rodzinną moją strzechą? „Bo choć

¹⁾ J. Kremer: *Listy z Krakowa*, t. II, str. 30.

tam w dalekiej dali — mówi Józef Kremer ¹⁾ — piękniej bywa niekiedy, i świetniej, i wspanialej, toć tam przecież braknie własnej strzechy i ojczystego nieba, co to drogie a miłe; lubo strzecha tak biedna, a niebo tak zimne i szare... toć tam człek, niby drzewo przesadzone, odchorować musi swoje... Ztąd w dali zaświatnej luby ci i wiatr z północy i miłe wędrownne ptaszę, co żegluję przez morza do krajów, kędy niema mrozu; i witasz wiatry zimne i ptaki wędrownne, jakby posłańce od ojczystych borów, od domowych chat i wsi rodzinnych.

Alboż nie śliczne
Te wioski liczne,
Ten kraj kochany,
Bogate łany...

I prawda. Śliczne i dlatego, że nasze, i dlatego, że więcej tu różnaitości, że żyzne łany „połączane pszenicą, posrebrzane żytem,“ o wiele obfitsze wydają plony, niż wypalone słońcem pola jęczmienne w Grecyi.

Przez takie pola podążyliśmy ku pobliskim ruinom teatru. Zwyczajnie budowano teatru u podnóża góry ze względu na łatwość urządzenia amfiteatralnych siedzeń; tutaj przeciwnie cały teatr zbudowano na równinie, prawdopodobnie z tego powodu, że tuż obok stała świątynia Dyonizosa, ku czci którego urządzone uroczystości z tańcami i śpiewami dały początek przedstawieniom teatralnym. Ażeby zyskać podwyższenie, umieszczono orkiestrę znacznie niżej poziomu, a sztuczny nasyp półkolisty zastąpił naturalną pochyłość terenu.

Przed rokiem Instytut amerykański w Atenach rozpoczął tu poszukiwania. Dotychczas odkryto proskenion i orkiestrę. Przerwaną na zimowe miesiące pracę podjąć miano na nowo w maju.

Trojaki materiał budowlany, t. j. twardy, wapienny kamień, poros i biały marmur wskazują na trzy okresy przebudowywania. Pierwotnie, jak się zdaje, była scena (σκηνή

¹⁾ *Listy z Krakowa*, t. III, str. 360.

t. j. namiot) z drzewa i płótna, a przed nią miejsce do tańców i grania, dla widzów zaś urządzano miejsca do siedzenia i stania na drewnianem rusztowaniu w rodzaju naszych trybun. Dopiero później wybudowano stałą scenę z kamienia i dodano ruchome proskenion i paraskenia. W drugim okresie budowania wysunięto proskenion, obniżono orkiestrę i poprowadzono tajemny chodnik podziemny, który się rozpoczął pod środkiem sceny, a kończył w środku orkiestry i miał ułatwiać szybkie ukazywanie się aktora w orkiestrze i szybkie tegoż znikanie. Podobne chodniki, zwyczajne w amfiteatrach rzymskich, rzadko tylko spotykamy w greckich teatrach, jak np. w Magnezyi. Nazywano je u Greków schodami Charona (*χαρῶνριοι κλίμακες*). Drewniane rusztowanie na pomieszczenie widzów zastąpiono w tym okresie przebudowania siedzeniami amfiteatralnymi z kamienia porosowego. Wszelkie upiększenia, jak np. wyłożenie proskenionu płytami marmurowymi i t. p., pochodzą z trzeciego okresu przebudowania.

Niedaleko za teatrem wznosi się stroma góra, zasypana odłamkami skał i pokryta tu i owdzie zaroślami. Na niej to wznosiła się niegdyś eretryjska akropolis, podczas gdy samo miasto zbudowane było na stoku góry i na równinie u jej stóp, ku morzu się rozciągającej. Wzdłuż resztek miejscami tylko widocznych dawnych murów obronnych, wybudowanych z nieociosanych głazów, wydrapaliśmy się na szczyt góry. Wszelki ślad dziś zagał z budowli, jakie się tu niegdyś wznosiły, a ich miejsce zajęły gruzy, chwasty i zioła. Ale za to cudowny widok opłaca sownie trud wspinania się na górę. Stoimy zwróceniu ku morzu. Po prawej i po lewej stronie spuszcza się stoki góry zwałiska starych murów, które opasawszy wierzchołek dwoma rozszerzającymi się ramionami, sięgają ku morzu. W objęciu tych ramion rozpościerało się miasto — snąć potężne i rozległe, bo rozległa przestrzeń, jaką zajmowało. Dziś jedynie nad samem wybrzeżem, na zielonem tle pól jęczmiennych, bieleją trzy rzędy lichych domków, jakby na ironię świetnej przeszłości. Tak to mija i sypie się w gruzy wszystko, co ziemskie, co śmiertelne, nie zna tylko zagłady to, co ożywia duch nieśmiertelny. W ruinach leżą starych Hellenów grody, chwasty i zioła porastają mogiły, w których spoczęły śmiertelne szczątki ich

bohaterów, wieszczów, mężów nauki i niezrównanych mistrzów, ale po nad te ruiny miast i grodów, po nad grobowce i kurhany, unosi się nieśmiertelny duch Hellady. Ten żyje i żyć będzie po wsze czasy w tworach i dziełach, jakie po sobie zostawił. I dziś „uczucia nasze, myśli nasze, wypuszczone z duszy, jakby pszczołek rój, ulatują po nieśmiertelnych kwiatach Grecyi, pijąc z nich osłody i pokrzepienie w życia naszego goryczy i omdleniu duchowem.“ Ale jak pszczoła skrzętna oblatuje dalekie niwy i z obcych ziół i kwiatów zebrana słodycz do własnego zanosila, tak i myśl nasza, upojona wonią owych kwiatów nieśmiertelnych, wykwitłych pod pięknem Grecyi niebem, rada wraca do ojczystej ziemi, przebiega rodzinne bory i łąny, zwiedza grody i przywołuje przed siebie lepszej przeszłości pamiątki, zatrzymuje się przy ruinach starych zameczysk, błądzi po kurhanach. Bo „czyliż usypane od dawnych wieków mogiły w stronach rodzinnych są dla nas jedynie kupą martwej ziemi, czyliż nie słyszymy, jak w nich bije serce dawnych lat?... Komu w sercu zapłoną gorącej miłości ognie, komu w myśli jasno, widno, temu już cały świat w koło zadygoce życiem, a ciepłem uczuciem. To wrzące serce jego uczyni go niby wieszczem, poetą, mistrzem; więc on zrozumie i ptaków pogadanki, jemu ziola opowiedzą miłości swoje, a powiezy wietrzne wyszepcą wieści o zamorskich ludach, góry echem pożalą się tęsknoty swojej, jemu groby i mogiły roztworzą się przezroczem, on bez jęku rozmówi się z umarłymi, a umarli go pocieszą“¹⁾. I tak czerpiąc wspomnienia z świetnej przeszłości, zaczerpnie otuchy na przyszłość.

Dość jednak tych wspomnień na zwaliskach starej Eretryi — towarzysze podróży poschodzili już na dół, zdążam więc za nimi.

W czasie śniadania okręt podplynał ku przeciwległemu wybrzeżu Attyki i zatrzymał się w pobliżu Oropos. Ztąd mieliśmy zwiedzić Amphiareion, objęte planem wycieczki. O godzinie 1-ej po południu rozpoczął się pochód. Na wybrzeżu stało już kilka osiodłanych osiołków, na które wnet znaleźli się amatorowie, nie ufający zbytnio swoim własnym ruma-

¹⁾ J. Kremer: *Podróż do Włoch*, Dzieła, t. VII, str. 56.

kom. Droga wiedzie początkowo pod dosyć stromą górę, pokrytą wonnemi ziołami i zaroślami aż do przełęczy, gdzie się zaczyna piękna dolina górską, osłonięta lasem szpilkowym. Pożal się Boże, co to za las! Nawet najbardziej przetrzebione nasze galicyjskie bory, są jeszcze „powabne i pełne krasy“ wobec tego, przez który wiodła nasza ścieżka. Rzadkie, małe i karłowate sosny stanowią cały, nader nędzny drzewostan lasu. Bo i jakżeż mają wyrósć te biedne drzewka, kiedy każde z nich z wszystkich stron kilkakrotnie ponadcinane barbarzyńską ręką tych, którzy zajmują się zbieraniem żywicy. Używają jej do wina, bo Grecy piją prawie wyłącznie tylko wino z żywicą mieszane, t. zw. „rezenato krasi,“ a to dlatego, że dłużej nawet w cieple można je przechowywać i dobrze ma działać na żołądek. W smaku i zapachu czuć żywicę i gdy się je po raz pierwszy pije, budzi prawie wstęt, lecz bardzo prędko można się do niego przyzwyczaić. Atoli wobec taniości i dobroci win nierezenowanych, t. j. nie zmieszanych z żywicą, przyzwyczajając się niema koniecznej potrzeby.

Nie dostarczył nam więc las cienia przed dogrzewającym słońcem, ale natomiast pełną piersią oddychaliśmy rozkoszną wonią żywicy i aromatycznych ziół leśnych. Tutaj usłyszałem po raz pierwszy miły dla ucha głos naszej wróżki leśnej — kukulki. Długo słyhać było jej kukanie, któremu podrzeźniało echo, odbite od sąsiedniej góry, a już przeszło godzinę trwał pochód, las skończył się i zesliśmy do wąskiej doliny rzeczki Asoposu. Nad nią leży miejscowość Mavrodhilisi i ruiny Amphiareionu. Była tu niegdyś wyrocznia i siedziba Amphiaraoasa, jednego z siedmiu bohaterów, którzy przedsiębrali wyprawę przeciw Tebom i zarazem głośnego wróżbity. Podanie niesie, że kiedy po nieszczęśliwej walce pod Tebami uchodził przed pogonią swoich prześladowców, raził go tu grom Zeusa a zwłoki pochłonęła ziemia.

Zasluga odkopania ruin należy się greckiemu Towarzystwu archeologicznemu. Odkryto resztki świątyni, ołtarza ofiarnego, liczne postumenta, na których stały posagi, złożone bóstwu w darze, ruiny budynku, gdzie stały, jak się zdaje, zwierzęta na ofiarę przeznaczone, resztki łazienek dla mężczyzn i kobiet, teatr i długą kolumnadę.

Wartka rzeczka, zasycana obfitem źródłem, które stanowi środkowy punkt świętego miejsca, zabrała połowę fundamentów świątyni, pozostała tylko druga połowa. Świątynia nie miała kolumnady wokoło, tylko wewnątrz stały dwa rzędy kolumn i olbrzymi posąg Amphiaraoza, z którego ledwie część ramienia się zachowała ¹⁾. Po za świątynią zaczynał się wodociąg, a nieco dalej łaźienki.

Teatr niewielki obliczony był widocznie na szczupłą liczbę osób, a tak był zasypany, że dopiero przy odkopywaniu z napisów dowiedziano się, że to był teatr. I dziś jeszcze nie widać wcale siedzień, które były zapewne wyrobione w ziemi, odsłonięto tylko w całości proskenion i orkiestrę z pięcioma marmurowymi fotelami. Obejrzawszy wszystko, co godnem było widzenia, wszyscy podróżnicy ustawili się wśród ruin na stoku zielenią pokrytej góry, a towarzyszący nam w całej tej wycieczce naukowej fotograf zrobił zdjęcie. Było to już trzecie z rzędu, pierwsze w Rhamnos, a drugie w Eretryi. W tym właśnie czasie przybył posłaniec z Aten z listami. Do powrotu pozostawało jeszcze blisko godzinę czasu. Zły, że prócz kartki korespondencyjnej z Rzymu nie miałem żadnego listu z kraju, usiadłem opodal od ruin nad stromym brzegiem przesuwającego się z szmerem pomiędzy dziko rosnące oleandry strumyka, a gdy niebawem zjawił się drugi stypendysta z Galicyi, prof. Łuczakowski, i dwóch profesorów Czechów, zawiązała się żywa polityczna dysputa głównie na temat Młodoczechów i panslawizmu. Pokrzepiwszy się pomarańczą i szklanką wody, podanej nam przez młodzieńką Greczynkę, rozpoczęliśmy odwrót inną już drogą, lecz równie przyjemną i interesującą jak ta, którąśmy przyszli. Wąska ścieżyna wiła się przez niskie wzgórza, porośłe rzadkim lasem sosnowym, podszytym tu i owdzie gęstemi zaroślami. Młody zarost wskazywał, że niedawno dopiero okolicę tę zalesiono, a zarazem stanowił dowód, że ogromne, puste i odlegiem leżące obszary, dałyby się zalesić. Ale ani rząd, ani właściciele prywatni nie prawie w tym kierunku

¹⁾ Złożono je w „muzeum,” w pobliżu ruin świątyni, gdzie też pomieszczono inne, nieznaczące zabytki, a szczególnie napisy.

nie robią. To też lasy w Grecyi są wielką rzadkością, a do tego częste pożary, wzniecane bądźto ręką zbrodniczą, bądź przypadkowo przez nieostrożność pasterzy niszczą i te resztki lasów, jakie gdzieniegdzie pozostały. Właśnie świeże ślady takiego pogorzelska lasowego mieliśmy sposobność zobaczyć, gdy z ostatniego wzgórza ścieżka zniżać się zaczęła do uroczej niziny, rozpostartej nad brzegiem morza. Jakżeż tu odrazu zmienia się krajobraz? Z okolicy zupełnie dzikiej, z pośród nędznych zarośli i skarłowaciałych sosen, wchodzi się nagle pomiędzy ogrody, gdzie „drzewa owocne, zasadzone w rzędy, oceniają szerokie pole.“ Za ogrodami ciągną się bujne łąny, zasiane jęczmieniem i przeplatane winnicami, a w jednym miejscu zdarzyło mi się nawet spotkać nieduży obszar, zasiany żytem. Było właśnie w kwiecie i sięgało wysokości słusznego mężczyzny. Rozrzucone po całej nizinie drzewa oliwne uzupełniają ten prawdziwie piękny krajobraz. Przy powrocie na okręt mieliśmy podobne huśtanie łodzi, jak pod Maratonem, bo morze było więcej niespokojne, niż zwyczajnie, a fale wznosiły się wysoko.

IV.

Rankiem 19 kwietnia stał okręt koło wyspy Andros w przystani miasteczka Gavriou, dokąd w nocy podpłynął. Wyspa Andros należy do Cyklad i po Naxos jest największa między niemi. Cyklady w ogólności zaludnione są słabo, bo liczba mieszkańców dochodzi zaledwie 132.000. Wszystkie razem stanowią jedną nomarchię z stołecznym miastem Hermupolis, albo Nea-Syros (22.000 mieszkańców) na wyspie Syra. Dobry port i korzystne położenie uczyniły miasto ogniskiem greckiego handlu i przyczyniły się do jego rozkwitu. Od niedawna dopiero, kiedy główny ruch handlowy przeniósł się do Pyreusu i do Patras, miasto straciło swoje dawne znaczenie i zaczęło upadać. Obraz zewnętrzny wysp niewiele się różni od stałego lądu. Więcej zieloności tylko na wybrzeżach, a zresztą sterczą skaliste, nagie wierzchołki gór, na których często bieleją klasztory.

Między Cykladami największa (260 □ klm.), najdalej na północ wysunięta i najbardziej zbliżona do Eubei, jest górzysta wyspa Andros, gdzie właśnie mieliśmy wylądować. Dla okrętów, przybywających z Turcyi, zarządzona była kwarentanna z powodu cholery, dlatego kapitan okrętu przed każdym wylądowaniem musiał naprzód zgłosić się do naczelnika dotyczącej miejscowości i zawiadomić go, że okręt nie przybywa z okolic dotkniętych cholera i że załoga cieszy się wyborem zdrowiem, aby uzyskać pozwolenie wylądowania.

Duży statek parowy w zatoce lichej, nadbrzeżnej wioski Gavrionu, był widocznie rzadkiem zjawiskiem, bo nie brakło na brzegu ciekawych widzów, witających przybyszów pozdrowieniem *Kalimera* (dzień dobry), a w ich liczbie zauważyliśmy dwóch oficerów inżynierii, jednego Prusaka, drugiego Greka, zajętych pomiarami wojskowemi na wyspie ¹⁾. Po uprzejmem powitaniu dodali nam trzech żołnierzy, jako przewodników.

Wąską postępując drożyną, wyszliśmy po za ogrody domów na kamieniste pola, uprawne tylko miejscami, a zresztą pokryte skąpą trawą i chwastami. Dziko rosnące tu i owdzie figowe krzaki, poobgryzały kozy, nie pozwalając im wyrósć w urodzajne i cieniste drzewa. Z kamienia ułożone płoty przerzynały pola, odgraniczając je od siebie, jak u nas miedze. Tego rodzaju ogrodzenia, przeplatane często poprzecznymi, podmurowanymi terasami, sięgają od dolin aż po szczyty gór i są wymownem świadectwem kwitającego niegdyś stanu tej wyspy. Nieliczna dziś ludność (około 20.000 mieszkańców) zajmuje się hodowlą jedwabników, uprawą wina, oliwek i hodowaniem owiec, podczas gdy uprawa roli jest zupełnie zaniedbana. Znaczna część mieszkańców wyspy opuszcza na jakiś czas lub na zawsze zagrody rodzinne i na Wschodzie — głównie w Azji Mniejszej — szuka zarobku. Gdy w czasie wypraw krzyżowych obalono cesarstwo bizantyńskie, a na jego miejsce utworzono na czas krótki cesarstwo łacińskie, przeszła wyspa Andros (1207 r.) pod panowanie weneckiego szlachcica, Marino Dandolo, jako udzielnego księcia. Pod jego następcami doszła do tak wielkiego roz-

¹⁾ Główna na wyspie miejscowość, miasteczko Andros, leży po drugiej stronie wyspy.

kwitu, że zdołała skutecznie bronić swojej niepodległości wobec groźnej potęgi tureckiej do r. 1566. Pod panowaniem tureckim zaczynają się dopiero smutne czasy dla mieszkańców wyspy, zmniejszała się ich liczba, podupadał dobrobyt. Dziś tylko w gęściej zamieszkałych okolicach zielenią się winnice, ogrody i pola jęczmieniem zasiane, a resztę zaległy pustkowia kamienne.

Właśnie do takich gęściej zaludnionych okolic, należy stok góry, na którym znajduje się okrągła wieża — cel naszej całogodzinnej podróży. Ma ona kształt okrągły, a jej dzisiejsza wysokość sięga kilku pięter. Dolna część po pierwsze piętro zbudowana z potężnych, źle obrobionych głazów, dopiero do budowy wyższych pięter użyto dobrze obrobionych ciosów. Wewnątrz każde piętro miało sklepienia — dziś już zwalone — i kilka małych pokoików, do których dochodziło się po kamiennych schodach spiralnych wewnątrz wieży, zachowanych jeszcze w dość dobrym stanie. Zaczynały się one dopiero od pierwszego piętra, a wejście na nie prowadziło kominowym otworem w murze po nad bramą.

Wieża służyła zapewne jako miejsce ochronne przed napadami rozbójników morskich. Na znak ostrzegający przed niebezpieczeństwem, chroniła się tu okoliczna ludność, wchodząc do wnętrza wieży owym otworem nad bramą po drabinie, którą następnie za sobą wyciągała, zamykając otwór. Podobne i w tym samym celu budowane wieże spotykamy dość często także we Włoszech. Kiedy rzesza podróżnych była zajęta oglądaniem wieży, zebrała się naokoło niej spora liczba tamtejszych wieśniaków, a jeden z nich — poważny gazda — przyniósł spory dzban czerwonego wina i traktował nim gości. Wino widocznie smakowało, bo dzban wnet się wypróżnił, a gościnnie „Petro“ pospieszył do swej kamiennej chaty, aby niebawem znów z pełnym dzbanem powrócić. I ten wypróżniono, poczem w wesołym usposobieniu rozpoczął się odwrót do Gavriou.

O godzinie 10-ej ruszył okręt dalej wzdłuż zachodnich wybrzeży wyspy Andros ku wybrzeżom wyspy Tinos, bliskiej tejże sąsiadki od strony południowej. Mniejsza od poprzedniej (210 □ klm.), ale natomiast żywniejsza, bo mniej górzysta i lepiej uprawna, miłszy dla oka przedstawia widok. Pły-

niemy naprzeciw miasteczka Tinos (2000 m.), położonego tuż nad przystanią, zasłoniętą od południowych wiatrów sztuczną tamą. Dachu po największej części płaskie, nadają miastu charakter wschodni. Jest ono siedzibą biskupa rzymsko-katolickiego i ma dwa łańskie kościoły. Nieco dalej za miastem wznosi się okazała świątynia „Panagia Evangelistria“ z wysoką wieżą. A jak niegdyś w starożytności zgromadzali się tu mieszkańcy okolicznych wysp na doroczną uroczystość Posejdona, czezonego tu szczególnie jako lekarza, tak dziś owa świątynia, będąc miejscem odpustowem, ściąga tłumy pobożnych pielgrzymów z bliższych i dalszych stron. Na stokach sąsiednich wzgórz bieleją w nieładzie porozrzucane grupy domków, zamieszkałych przez ludność obrządku rzymsko-katolickiego, z kąd cała ta okolica nosi nazwę *Francochora* (kraj Franków).

Wyspy Eubea, Andros i Tinos ciągną się prostym łańcuchem od północnego zachodu ku południowemu wschodowi. Ogniwa tego łańcucha szybko się zmniejszają, a ostatnie i najmniejsze stanowi wyspa Mykonos (116 □ klm.). Do wygodnej przystani miasteczka Mykonos przyplłynął nasz okręt około godziny 4-ej po południu.

Ludność całej wyspy liczy nad 6000 mieszkańców, a z tego połowa przypada na samo miasto. Choć w porcie oprócz kilku rybackich łodzi i paru małych żaglowców nie widać większego okrętu, to przecież zaraz po wylądowaniu można było zauważyć większą ruchliwość u mieszkańców miasta, aniżeli gdzieindziej. Już w starożytności dostarczała wyspa dzielnych żeglarzy, a sława ta pozostała Mykonosianom do naszych czasów. Skalista wyspa nie może zaspokoić potrzeb jej mieszkańców, wynajmują się więc jedni jako marynarze, inni znów, jako myśliwi tłuką w czasie przelotu wędrowne ptactwo, a zwłaszcza przepiórki, które zamarynowane w occie, uważają Grecy za wielki przysmak.

Na szczególniejszą uwagę zasługują także kobiety tej wyspy, wyróżniające się od innych Greczynek urodą. Dotychczas zacząłem prawie całkiem powątpiewać o piękności Greczynek — tu widocznie zachowała się w czystości klasyczna rasa, gdyż tyle prawdziwie pięknych i mniej płochych, niż w innych miejscowościach kobiet nie zdarzyło mi się widzieć nigdzie

w Grecyi. Kobieta u Greków ze względu na społeczne stanowisko zostaje jeszcze pod wpływem wyobrażeń wschodnich, które ją stawiają nieporównanie niżej od mężczyzny. Brak wskutek tego niewiastom greckim pewnej swobody towarzyskiej, brak właściwej kobietom elegancyi, brak tego, co powszechnie szykiem nazywamy. Ale natomiast posiadają wiele zalet, pomiędzy któremi naczelne zajmują miejsce pilne zajmowanie się sprawami domowemi, niezwykła moralność i gorąca miłość ojczyzny. Nad moralnością czuwają także mężczyźni. Jak kobieta przeciw tej enocie wykraczająca staje się przedmiotem ogólnej pogardy, tak z drugiej strony mężczyzna, który ją z drogi enoty sprowadził, winien ponieść zasłużoną karę z ręki męża, brata lub kochanka. Prawo zemsty nietylko w tego rodzaju sprawach, lecz także za wszelkie inne doznane krzywdy kwitnie u Greków, zwłaszcza między ludnością niższą i ciemniejszą, tak prawie, jak za homerowskich czasów. Ztąd to tak często słyszymy tu o skrytobójstwach, ztąd całe nieraz rodziny stają się ofiarą owego dzikiego, głęboko w naturze Greków tkwiącego prawa zemsty.

Wracając do miasteczka Mykonos, zauważyć muszę, że kobiety tutejsze oprócz piękności, wyróżniają się i pod innym względem. Ciemnymi rzęsami nie osłaniają skromnie — zwyczajem Greczynek — czarnych, jak węgiel, źrenic, lecz z miłym na twarzy uśmiechem śmiało przypatrywały się przybyszom, zdążającym wprost do muzeum, umieszczonego w domu Kamwánisa niedaleko od wybrzeża. W dwóch izbach pomieszczono pewną liczbę gorzej zachowanych rzeźb, płaskorzeźb i napisów, odnalezionych na wyspie Delos, bo lepiej zachowane przewieziono do Aten. Większa część zabytków należy do najdawniejszego t. zw. archaicznego okresu sztuki greckiej, a tylko niektóre pochodzą z czasu najświetniejszego rozwoju sztuki, jak np. tułów (*torso*) chłopca (Nr. 42), lwica rozdzierająca jelenia (Nr. 57) i inne. Oprócz rzeźb widzieć tu można ułamki architektonicznych ozdób, skorupki waz i urn z okresu mykeńskiego, kaganki z gliny, figurki z terakotty i bronzu. Na uwagę zasługuje dobrze zachowany stół kamienny z czterema wydrążonemi otworami nierównej wielkości, służący do kontrolowania miar.

Opuściwszy muzeum, udałem się z kilkoma innymi towarzyszami na wzgórze, okalające miasto. Tylko najbliższy zatoki rząd domów leży na równinie, dalsze zaś wspinają się w górę po stromych skalnych terasach, po których i my wąskimi uliczkami wydrapaliśmy się z trudem na wierzchołek najbliższej skały. Jak dalszy widok na morze zasiane całym szeregiem większych i mniejszych wysp pociągał swoją różnorodnością, tak znów w dzikim nieładzie porozrzucane zwaliska nagich skał na wyspie samej napelniały grozą i budziły litość dla mieszkańców, z którymi przyroda tak po macoszemu się obeszła. Nie dziwnego, że starożytni patrząc na te złomy skalne, uczynili wyspę widownią walki gigantów, a bezkształtne granitowe głazy uważali za ciała pozabijanych przez Heraklesa olbrzymów.

U stóp skały rozciągało się miasto. Przypatrzyłem mu się uważniej. Całe szeregi domów, widocznie dotkniętych katastrofą trzęsienia ziemi, leżały w gruzach. A może ich mieszkańcy dawniejsi opuścili niegościnną wyspę i pozostawili liche lepianki kamienne ich własnemu losowi? Po za miastem ciągnął się cały szereg wiatraków.

Schodząc z góry, zajrzałem do paru domków. W jednym przystojna mieszczanka siedziała za krosnami, zajęta żywo robotą. Taksamo pewnie tkwały stare Greczynki. Krosna odmienne były od tych, jakich jeszcze nasi tkacze używają po wsiach. Nici podłużne, czyli tak zwana osnowa, przesunięte były w górze przez mały walec (nawój), tylko nici poprzeczne, czyli wątek, dzierzgano taksamo, jak u nas ręcznym czułym (czonkiem). Domy greckie w małych miasteczkach i po wsiach dla braku drzewa z kamienia lub gliny zbudowane i dachówką kryte, są zazwyczaj piętrowe. Dół przeznaczony w takim razie na pomieszczenie sprzętów i potrzeb gospodarskich, piętro zaś na pomieszkanie. Urządzenie wewnętrzne w domach wiejskich bardzo jest prymitywne. Niskie przegrody zastępują miejsce ścian wewnętrznych, podłoga łóżka, a dach sufit. Dotkliwy brak drzewa widoczny tu wszędzie. Natomiast drobny, a tak dokuczliwy żywy inwentarz we wszystkich trzech kolorach: białym, ciemno-brunatnym i miedzianym bardzo bogaty. Przekona się namacalnie o tem każdy, kto przynaglony potrzebą noclegu, tam go szu-

kać musi. Nawet kopulaste cerkiewki — okazalsze na zewnątrz — bardzo skromnie przedstawiają się na wewnątrz.

A *propos* cerkwi, to uderzyła mnie wielka ich liczba w Grecyi. Widnieją one zarówno na szczytach gór i w samotnych ustroniach, jak w osadach wiejskich i miastach. I małe Mykonos posiada sporą ich liczbę, a niektóre tak maleńkie, jak nieduże kapliczki. Parę przerobiono z dawnych meczetów tureckich. Później w Atenach opowiadał mi p. Minejko, emigrant z 1863 r., zostający lat kilka w rządowej służbie greckiej jako inżynier i jedyny Polak w Grecyi, że sporą część owych cerkiewek fundowano jako ekspiacę za popełnione winy. Ktoś np. nieuczciwym sposobem dorobił się majątku. Wiedziano o tem i gardzono nim. Ażeby więc poprawić sobie opinię, wybudował cerkiew, przeznaczył pewien fundusz na to, aby w niej raz w rok w dniu św. patrona, pod którego wezwaniem była fundowana, odprawiło się uroczyste nabożeństwo. Czyn ten zrehabilitował go w oczach pobożnych ziomków, mógł już nawet bez obawy wystąpić jako kandydat do mandatu poselskiego i uzyskawszy go, rozpocząć karierę polityczną.

Po zwiedzeniu niektórych cerkwi, udałem się na wschodni kraniec miasteczka, aby obejrzeć malutki, ale ładny ogródek — osobliwość na skalistej wyspie — założony jeszcze w XVIII w. Mała, czarnooka „Katharina,” śliczna córeczka ogrodnika, dawała zwiedzającym bukieciki z wanilii, azalei i innych kwiatów.

Już miało się ku wieczorowi, kiedy zaczęliśmy wsiadać na łódzie. Gromada dziarskich chłopaków żegnała nas, krzycząc głośno: *εἰς βίε*. Obiad był już gotów, a po spożyciu go, całe towarzystwo zebrało się na pokładzie i rozpoczęły się śpiewy. Przodował chór Anglików, a za jego przykładem poszli Niemcy, którym dzielnie pomagały panie Dörpfeldowa, Furtwänglerowa, panna Bunsen i inne. Śpiewom na okręcie wtórował głośny gwar mieszkańców Mykonosu. Powoli ucichły gwary, nikły ostatnie echa melodyj okrętowych, śpiewacy pochowali się do kajut i zapanowała ponura cisza. Sam jeden pozostałem na pokładzie okrętu, a kiedy myślami pogoniłem daleko na północ, odczułem całą głęboką prawdę tej

myśli, jaką nieśmiertelny poeta w *Ciszy morskiej* temi wypowiedział słowy:

O morze! pośród twoich wesółych żyjątek
 Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
 A na eiszę długimi wywija ramiony.
 O myśli! w twojej głębi jest hydra pamiętek,
 Co śpi w pośród złych losów i namiętnej burzy,
 A gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony...

V.

Przez małe okienka zaledwie słaby dopiero brzask jutrzeńki zaglądał do kajuty, kiedy zbudził mnie niezwykle o tej porze ruch na okręcie. Już o godz. 4 rano wszyscy prawie mężczyźni byli gotowi do przeprawy na wyspę Delos, najbliższą od zachodu sąsiadkę Mykonosu, ku której brzegom podpłynęliśmy w nocy. Zaledwie wypilem filiżankę gorącej herbaty, już trzeba było schodzić na łódź, by wraz z innymi dobić do brzegu, a ztąd spieszyć dalej na szczyt góry Kynthos. Jest to punkt najwyżej na wyspie wzniesiony. Naprawdę warto było widzieć tę poważną drużynę uczonych, z jakim młodzieńczym zapalem nawet szronem siwizny pokryci ludzie drapali się po rumowiskach kamiennych, po resztkach murów dawnych świątyń, po rozrzuconych w nieładzie zwaliskach kolumn, fryzów i innych części starych budowli, po dzikich złomach skalnych, aby jak najprędziej stanąć na szczycie góry. Gdyby nas był zobaczył w tym pośpiechu którykolwiek z nowoczesnych materyalistów, dla którego pieniądz jest jedynem bóstwem, jakiemu pokłon składa, to nabrałby niewątpliwie przekonania, iż ze szczytu góry otrzymano wiadomość, że odkryto tam pokłady złota lub srebra, lub że przynajmniej trysło nadzwyczaj obfite źródło nafty. I nie wątpię, że w tej myśli popędziłby za innymi. Lecz jakież byłoby jego rozczarowanie, gdyby się dowiedział, że nie chęć z bogacenia się pchała na wierzchołek góry uczonych idealistów, nawet nie chęć z bogacenia wiedzy, bo nie odkryto

tam żadnych nowych archeologicznych zabytków, lecz jedynie chęć oglądania wschodu słońca.

I opłacyli się sowiecie trudy tym, którzy zdołali stanąć u celu, zanim wóz ognisty Apollina wytoczył się z głębin morskich. Niebo było pogodne, tylko krańce widnokregu osłaniały zlekka białe mgły, unoszące się nad powierzchnią morza, zabarwione purpurowo tam, gdzie słońce ukazać się miało. Wnet trysnął pęk promieni i oświetlił grono ciekawych widzów. Oko słońca, początkowo senne, skąpowwszy się w morzu, już oczom śmiertelnym na siebie patrzeć nie pozwalało, dopóki nie zasłonił je białymi skrzydły zazdrosny Eolus (wiatr południowy).

Teraz dopiero miałem czas obejrzeć się wokół siebie i przekonać się, że stoimy na miejscu, z którego starożytni amatorowie i wybredni znawcy piękności przyrody mieli częściej sposobność przyglądać się wschodzącemu słońcu. Porzucane bezładnie czworograniaste głazy, pomieszane z odłamami skał kawałki marmuru, posadzka mozaikowa dobrze zachowana — to wszystko resztki dawnej świątyni Jowisza (Zeus Kynthios) i Ateny (Athena Kynthia), których w wiekach średnich użyto do wybudowania tu warowni. Małe zaledwie ślady pozostały po warowni średniowiecznej, znikła starożytna świątynia, znalazł się przecieź w gronie naszym nowożytny Zeus Kynthios, a był nim poważny, z długą brodą prof. Heilberg. Z kilkolitrowej butelki nalewał do szklanego pucharu winny nektar, a nowoczesna Atena — pani Dörpfeldowa — rozdzielała ambrozyę w postaci cukierków. Tak w zmodernizowany sposób należną oddawszy cześć najdawniejszym mieszkańcom skalnej góry, można było spokojnie przyjrzeć się dalszej okolicy, zabawić oko nader urozmaiconym, uroczym widokiem wysp Archipelagu.

Wprost na wschód, jeżą się skały znanej nam, o godzinę drogi odległej wyspy Mykonos, a do nich, niby rozpierchłe stado owiec, tułą się białe domki mieszkańców wyspy. Z po za Mykonosu, jakby z za parawanu widać łysinę Ikaru, a trochę dalej ku południowi, małą wysepkę Staphidhą. Na północnej stronie wznosi się Tinos, a na niej miasto i wioski, podobne do płatów śniegu, za nią zaś nawpół ukryta wychyla się Andros. Od zachodu tuż przed nami do

osy lub szerszenia podobna leży Wielka Delos (Megali Dilos), w kanale zaś wąskim, oddzielającym obie wyspy, sterczą dwie podłużne wysepki, jakby grzbiety delfinów. Dalej ku zachodowi po nad Wielką Delos, widnieje Syra, a ku północnemu zachodowi Giura, na południowym zaś zachodzie daleko majaczej ledwie dostrzegalne kontury wysp Seriphos, Siphnos i Polinos. Dopelnieniem malowniczego obrazu od południa są wyspy: Naxos, Paros, Antiparos, Jos i Dhenousa (Tenusa).

W samym środku tego wyspiarskiego koła (cykl, Cyklady), znajduje się Delos, dziś Mikra Dilos zwana, na której cały dzień pobytu był może jednym z najprzyjemniejszych w ciągu morskiej wycieczki. Wyspa to zupełnie pusta, bo oprócz dozorey wykopalisk i przewodnika po tychże w jednej osobie, niema tu innego stałego mieszkańca. Sława jej w starożytności pochodzi ztąd, że była miejscem urodzenia Apollina. Według podania, należała ona niegdyś do wysp pływających, dopiero Posejdon przywiązał ją na czterech dyamentowych słupach — jako miejsce przytułku dla prześladowanej przez Herę Latony, matki Apollina i Artemidy. Pod drzewem oliwnem na górze Kynthos, zobaczył Apollo światło dzienne i ztąd pochodzą jego przydomki „Delios“ i „Kynthios.“ Bogini Themis podała nowonarodzonemu nektar i ambrozyę. Zaledwie spożył boską potrawę, stanął jasnowłosy młodzieniec w pełnej sile i piękności i rzekł: „Lutnię sobie obrałem i łuk, a przez wyrocznię chcę zwiastować ludziom niezmienną wolę Zeusa.“ Dziwiły się obecne boginie, a cała Delos jaśniała złotym blaskiem. Wyspa stała się odtąd głównem ogniskiem kultu Apollina, a wspaniała świątynia, dzieło mistrza Erisichthona, uchodziła u Greków za największą świętość. Co pięć lat obchodzono wspaniałe delijskie uroczystości, połączone z zapasami. Z całego kraju przybywali Grecy na te uroczystości, niosąc bogate dary i zapełniając niemi liczne skarbee. Sławę wyroczni delijskiej, połączonej z świątynią, przyćmiła dopiero sława Delf. Już od VIII wieku wyspa weszła w bliższe stosunki z Atenami, a kiedy w ciągu wojen perskich wytworzył się wielki związek Jończyków pod przewodnictwem Aten, przechowywano tu początkowo (od r. 469) kasę związkową, przeniesioną następnie (w r. 454) do Aten.

Z upadkiem niepodległości greckiej, różne przechodziła wyspa koleje. Po zburzeniu Koryntu miasto Delos, prowadząc ożywiony handel, doszło do największej świetności. Lecz niedługo potem w czasie wojny z Mithridatesem, wódz tegoż, Menophanes, złupił i zburzył nieobwarowane miasto i świątynię, a mieszkańców częścią wymordował, częścią zaprzedał w niewolę. Cios ten położył kres świetności wyspy.

Na miejscu, gdzie stało miasto i świątynia Apollina, rozpoczęła w r. 1873 poszukiwania Szkoła francuska w Atenach kosztem rządu francuskiego. Po zejściu z góry Kynthios udaliśmy się na miejsce wykopalisk, bo na godzinę 8-mą zapowiedziany był tam wykład Dra Dörpfelda.

Usiedliśmy na marmurowych głazach nad drogą, wykładaną płytami kamiennymi w samym prawie środku wykopalisk. Wokoło nas na przestrzeni kilku hektarów widać odkopane fundamenta świątyń, skarbców i różnego rodzaju budowli, a obok tych w nieładzie leżą porozrzucane marmurowe części kolumn i fryzów z tryglifami, potłuczone kawałki belek i mnóstwo ciosów z dawnych ścian. Po nad to wszystko piętrzą się wzgórza rumowisk, osłonięte purpurą kwitnących dzikich maków, tkaną gęsto złotem wonnych nogietków. Zimne głazy marmuru ożywia kwiat rosnącej bujnie pośród nich wyki i oplatającej je żywymi festonami. Dodajmy do tego miłą woń ziół kwitnących, brzęczenie uwijających się skrzętnie pszczół i rój wspomnień, nasuwających się z przeszłości, a będziemy mieli blady obraz wrażenia, jakiego się doznaje na delijskich ruinach.

Droga, o której wspomniałem, „świętą“ zwana, wiedzie do wnętrza świętego okręgu Apollina. Tuż za bramą widzimy po prawej ręce fundamenta budowli o przeznaczeniu nieznanem, a trochę dalej fundamenta głównej świątyni z wysokim podmurowaniem, tak, aby górowała nad innymi budowlami. Mury świątyni, kolumny i wszystkie ozdoby wykonane były z paryjskiego marmuru. Długość jej wynosiła 26·40 m., szerokość 13·55 m. Liczba kolumn nie da się dokładnie oznaczyć, zdaje się jednak, że było ich po 13 wzdłuż, a po 6 w poprzek. Materiał pozostał niemal w całości, możliwą byłaby więc restauracja świątyni, zbudowanej w IV wieku przed Chr. W pobliżu stały dwie inne świątynie, znacznie

mniejsze co do objętości, ale starsze wiekiem. Jedna z nich zapewne poświęconą była Artemidzie, gdyż według opowiadania Strabona, świątynia tej bogini stała obok świątyni Apollina. Rzecz da się może dokładnie rozstrzygnąć dopiero wtedy, gdy będą publikowane wszystkie napisy, których tu wielką ilość odkopano (około 2000).

O wiele lepiej, niż fundamenta świątyń, przechowały się resztki budowli, znajdującej się także w okręgu świątyni, której używano — jak się zdaje — jako stajnię dla wołów, przeznaczonych na ofiarę. Na domysł ten naprowadzają filary wewnętrzne z doryckimi półkolumnami, których kapitele zdobią leżące woły. Budowlę od północnej strony kończy szeroka, podłużna podstawa, na której wznosił się ołtarz rogowy Apollina (*κεράτινος βωμός*), tak nazwany od poprzyeczepianych na nim wokoło baranich rogów. Uchodził on w starożytności za jeden z siedmiu cudów świata.

W zachodniej stronie od świątyni napotyka się podstawę, na której stał olbrzymi posąg Apollina, ofiarowany przez mieszkańców wyspy Naxos. Odnaleziona w tem miejscu część tułowia daje miarę, jak ogromnych rozmiarów był cały posąg. Rękę tego olbrzyma widzieć można w domku dozorey, część zaś nogi dostała się aż do Muzeum Brytyjskiego w Londynie. Zwiedziwszy jeszcze rynek, propylee, porticus Filipa, całą grupę skarbców bez skarbów i liczne zabytki innych budowli, zakończyliśmy przedpołudniowy uroczysty pochód delijski przy świętem jeziorze. Nadchodząca pora śniadaniowa powołała nas na okręt.

Nie rozpoczął się był wprawdzie jeszcze sezon kąpieli morskich, dogrzewające atoli słońce, ciepła przy brzegu woda, zachęciła kilku z nas odważniejszych do wykąpania się w morzu przed objaśnieniami, jakie o godz. 3-iej po południu zaczęły się w odkopanym całkowicie teatrze ¹⁾.

1) Cały program popołudniowy i na dzień następny był taki:
„3 Uhr. Fortsetzung der Erklärung der Ruinen beim Theater, südlich vom Tempel. 6 $\frac{1}{2}$ Uhr Einschiffen. 7 Uhr Abendessen und Abfahrt nach Poros.“

„Programm für Sonnabend den 21 April 1894: 7 Uhr früh Ankunft in Poros. Landung bei der Stadt. Am Vorm.

Duża przestrzeń dzieli od głównej świątyni teatr, zbudowany zwykłym trybem na stromym stoku wzgórze. Potężny mur zewnętrzny otacza więcej niż półkolem amfiteatralne siedzenia dla widzów, bardzo licho zachowane. Dwa rzędy schodów bocznych i sześć środkowych, wiodących od dołu w górę w formie promieni koła, dzieli całą tę przestrzeń na siedem klinów (*κεκλιδεις*). Najniższy rząd siedzeń stanowią marmurowe fotele, rzędy wyższe wykładane były marmurem, a najwyższe płytami kamiennymi. Stanąwszy na uboczu, starałem się wytworzyć sobie w fantazyi obraz teatru za jego najświetniejszych czasów, wypełnionego „po same brzegi“ starymi Delijezykami, lecz wspinające się po zrujnowanych siedzeniach krowy, odbierały polot fantazyi i przykuwały oko do smutnej rzeczywistości. Zeszedłem więc do orkiestry, gdzie miał się rozpocząć wykład Dra Dörpfelda, tem ciekawszy, że prelegent już od dłuższego czasu robi studia do rozprawy o teatrze greckim. Zasadnicza różnica między jego zapatrywaniami a dotychczasowemi polega w odpowiedzi na pytanie, gdzie aktorowie grali?

Najdawniejsze produkeye, gdy sceny nie było, odbywały się oczywiście w orkiestrze. O żywszej akeyi nie mogło wówczas być mowy, bo tak produkujący się chór, jak i aktor, przychodzili wprost z miasta i odchodzili do miasta lub portu. Eschyl dopiero stworzywszy scenę, ożywił znacznie akeyę, bo aktor teraz mógł przychodzić z zewnątrz bocznemi wejściami (*παροδοι*) między sceną a podmurowaniem, zamykającym siedzenia od strony sceny i mógł wchodzić do sceny. Aktor tedy przychodził do środka orkiestry, a chór tańczył wokół niego. Gdy ukazywał się drugi aktor, n. p. poseł, mógł się zatrzymać przed sceną i ztąd mówić; taksamo rzecz się miała, gdy więcej występowało aktorów. Taki był zwy-

Besuch der Stelle des Poseidon-Tempels, der an einem Berge fast 1 Stunde von der Stadt liegt. 11 Uhr Mittagessen am Bord und Fahrt nach der Nord-West Ecke des Golfes von Poros. Besuch der Ruinen von Troizen, bei dem Dorfe Damala. Der Weg dorthin erfordert etwa 1 Stunde. 7 Uhr. Abendessen. In der Nacht: Fahrt nach Epidauros. (Stadt Epidauros, nicht das Hieron des Asklepios).

czaj w teatrach greckich, a następnie i rzymskich, że zwyczajnem miejscem gry dla aktorów był czworobok od środka orkiestry, gdzie stał ołtarz, po wejścia boczne i po scenę, a później po proskenion. Bo kiedy z biegiem czasu zamiast sceny z drzewa zaczęto budować sceny stałe z kamienia, dodano wówczas fasadę dla dekoracyj (proskenion) i boczne skrzydła (paraskenia). Aktor mógł ukazywać się także nad proskenium, t. j. na dachu sceny i ztąd przemawiać (*λογεῖον*). W proskenium tedy nie grano weale. Półkolista część orkiestry od ołtarza po miejsce dla widzów zarezerwowana była dla chóru. Jeżeli jednak chór nie występował, wtenczas i ta część orkiestry (konistra) służyła dla widzów; aby zaś nie zasłaniali widoku siedzącym w pierwszym rzędzie amfiteatru, obniżano półkole i wstawiano siedzenia. Taki plan widzimy prawie wszędzie w teatrach rzymskich i ta okoliczność, obok bogatszych dekoracyj i drobniejszych zmian, stanowi zasadniczą różnicę między teatrem greckim a rzymskim.

Powyżej ruin teatralnych, u północno-zachodniego stoku góry Kynthos, znajduje się najdawniejsza świętość wyspy, t. j. grotta Apollina. Potężną szczelinę skalną zamyka od zewnątrz starożytny mur z szeroką bramą. Dach grotty ułożony z dziesięciu poprzecznych głazów granitowych, które zastępują miejsce belek dla drobniejszych, na nich opartych kamieni. W tyle kamiennego dachu pozostawiono otwór, wpuszczający światło do wnętrza grotty. Naprzeciw bramy wchodowej jest studnia ofiarna. Marmurowe ocembrowanie i spoczywająca na niem okrągła, marmurowa płyta, pochodzą z czasów późniejszych. Płyta owa służyć mogła za podstawę do ustawiania trójnogu, a w takim razie grotę Apollina uważać należy jako miejsce wyroczni delijskiej. Między obecnymi nie brakło tam takich, którzy radziby byli zwyczajem starych Hellenów odgadnąć przeszłość ciemną, lub rady zasięgnąć w niepewnej terażniejszości. Lecz brakło kapłanki wieszczego Apollina, a z gruzów zwalonych świątyń pogańskich jedyna brzmiała odpowiedź: „Wszystko mija — prócz Boga!“ Na ten temat wszcząłem w powrocie na okręt rozmowę z sympatycznym Francuzem, p. Jerzym Perrot, który we wszystkich trzech częściach starego świata robił osobiście

studya do pomnikowego dzieła: *Historja sztuki w starożytności*. Z Polaków znał dobrze hr. Karola Lanckorońskiego.

VI.

Miasto Poros, na wyspie tejsamej nazwy, było teraz najbliższą stacyą, na której mieliśmy się zatrzymywać w dalszej podróży. Znaczna odległość dzielila je od wyspy Delos, opuściliśmy ją więc zaraz wieczorem i dopiero przed godz. 7-mą zrana dnia następnego (21 kwietnia) przybyliśmy do bardzo obszernego i ze wszystkich stron doskonale osłoniętego portu. Po prawej i po lewej wznoszą się zielenią drzew pokryte góry, a z przodu siodło. Kulbakę od portu w górę obsiadły białe domy, jakby rzędy pereł, przetykanych prawdziwemi kamieniami, tylko nie drogiemi, lecz granitowemi. Im wyżej, tem gęściej przeglądają głązy, domy najwyższe wyglądają jak gniazda jaskółcze, do skał poprzyczepiane. Miasto, liczące 4600 mieszkańców, jest stolicą eparchii (powiatu).

W porcie zastaliśmy kilka okrętów wojennych. Przez pewien czas była tu główna stacya wojennej floty greckiej. Dziś jej miejsce zajęła Salamina. Kiedy w r. 1831 utworzył tu grecki admirał Miaulis nowy rząd, skierowany przeciw prezydentowi Kapodhistriasowi, polecił tenże rosyjskiemu admirałowi Rikordowi opanować statki wojenne, znajdujące się w porcie. Miaulis nie chcąc wydać floty w ręce politycznych przeciwników, kazał ją spalić (13 sierpnia 1831 r.).

Wyspa Poros miała w starożytności nazwę Kalauryi i była siedzibą amfiktionii kalauryjskiej. Środkowy punkt tej amfiktionii stanowiła świątynia Posejdona na wyspie. Do miejsca, gdzie stała świątynia, skierowaliśmy nasze kroki.

Droga od miasta prowadziła jakiś czas po nad morze, ale wnet zboczyliśmy na lewo do malej doliny, zasadzonej drzewami owocowemi po obu brzegach strumyka, spieszącego wartko do morskiej kąpieli. Przed nami wznosiła się stroma góra. Na nią rozpoczęliśmy też niebawem pochód „gęsiego,“ bo wąska ścieżyna iść inaczej nie pozwalała. Rzadko rosnące, niskie i ze wszystkich stron popodcinane sosny otaczały ścieżkę. Nareszcie stanęliśmy na szczycie góry. Słabe

zaledwie ślady wskazują miejsce, gdzie stała świątynia władcy morza, Posejdona.

Niemogąc nawet w przybliżeniu odtworzyć sobie obrazu dawnej świątyni, poświęciłem wspomnienie największemu z mowców, jakich wydał świat starożytny — Demostenesowi, który w murach jej wyzionął ducha. Grecya ma Demostenesowi zawdzięczać, że zgonowi jej niepodległości przyświecały odbłyski dawnej sławy. Bitwa pod Cheroneą pogrzebała wolność grecką (r. 338). Wielki mowca, wielki polityk i gorący patriota musiał w kilkanaście lat potem opuścić miasto rodzinne. Żyjąc jako wygnaniec na wyspie Eginie, marzył wciąż o niepodległości swojej ojezyny. Wiadomość o śmierci Aleksandra rozbudziła nowe nadzieje w sercach Greków. Ateńczycy pierwsi dali hasło do walki o wolność. Wówczas i Demostenes porzuca miejsce wygnania, łączy się z posłami ateńskimi, obchodzi wraz z nimi miasta peloponeskie i porywającą wymową wzywa do chwytania za broń i łączenia się z Ateńczykami. Lud ateński odwołuje z wygnania Demostenesa, który chwilę powrotu w mury ojezystego miasta mógł słusznie zaliczyć do najpiękniejszych w swoim życiu. Wszystko, co żyło, wyruszyło na jego przyjęcie. Z nieopisanym zapalem powitano wielkiego męża (r. 323). Początkowo powodziło się Grekom, lecz kiedy znów szczęście wojenne przechyliło się na stronę Macedończyków, musieli złożyć broń i uznać ponownie ich zwierzchnictwo. Demostenesa skazano na śmierć. Ścigany przez macedońskich siepaczy i ich greckich pomocników, zażył Demostenes (dnia 12 października r. 322) truciznę w świątyni Posejdona, może na temsamem miejscu, gdzie wypoczywa strudzone uciążliwą drogą i znużone skwarem słonecznym grono naszych podróżnych.

Niedługo trwał odpoczynek, bo piękny widok z wierzchołka góry nęcił oko i odrywał myśl od ponurych wspomnień z przeszłości. Od zachodu i południowego zachodu piętrzą się dzikie góry Argolidy, kończące się przylądkiem Skyli, z po za którego wygląda wyspa Hydra już całkiem na południu. Od północno-zachodniej strony widać wyspę Methanę, wprost na północ Eginę, a pomiędzy nie wsunęły się dwie małe wysepki: Angistri i Moni. Po nad Methoną wznoszą się góry Megary, od wschodu zaś otwarte morze zaście-

lają mgły, z których na dalekim tle wylaniają się grzbiety gór Attyki. Najdalszy kres widnokregu od południowego wschodu tworzą ledwie dostrzegalne wyspy: Zea (Keos) i Thermia (Kythnos).

Po powrocie z góry mieliśmy chwilę czasu na obejrzenie miasta, poczem podpłynęliśmy ku wybrzeżom Argolidy. Żyzną i pięknie uprawną niziną dotarliśmy po półgodzinnej przechadzce (o godz. 2-iej po południu) ku podnóżom stromego pasma górskiego na miejsce, gdzie leżał starożytny gród Troizene, odległy o godzinę drogi od morza. Kwitnące przed wojnami perskimi miasto, zniszczyli Ateńczycy w czasie wojny peloponeskiej i już odtąd nie wróciło nigdy do dawnej świetności. Nowsze wykopaliska nie doprowadziły do znaczniejszych rezultatów. Odkopano w całości fundamenta budynku, w którym zapewne odbywały się sądy, i fundamenta starej świątyni. Jedynym zabytkiem, lepiej zachowanym, są ruiny świątyni chrześcijańskiej z czasów bizantyńskich, zbudowanej z materiału starego. Na pobliskim wzgórzu szukaliśmy śladów zamku (akropolis), lecz bez skutku. Według twierdzenia przewodnika mają się na szczycie góry, u stóp której byliśmy, znajdować mury warowni, nikt jednak nie miał ochoty tam się drapać.

VII.

Niedziela dnia 22 kwietnia była ostatnim dniem naszej wycieczki morskiej ¹⁾. Wczesnym rankiem stanął okręt przy wybrzeżu argolskim wprost na zachód od południowej kończyny Eginy. Stosownie do programu mieliśmy tu zwiedzić ruiny starożytnego miasta Epidauros.

¹⁾ Program tego dnia: „6 Uhr früh. Ankunft bei der Stadt Epidauros. Der Dampfer ankert unmittelbar neben der alten Stadt. 8 Uhr. Versammlung auf dem höchsten Punkte der Stadt. Kurze Erklärung der Ruinen. 10 $\frac{1}{2}$ Uhr. Frühstück an Bord und Abfahrt nach dem Tempel von Aegina. Der Dampfer landet an der Ost-Küste der Insel, etwa $\frac{1}{2}$ Stunde vom Tempel entfernt. Gegen 2 $\frac{1}{2}$ Uhr. Erklärung der Ruine des Tempels.“

Miasto zbudowane było na półwyspie „Nisi“ zwanym, który w czasach przedhistorycznych prawdopodobnie tworzył wyspę. Podobne położenie miały Syrakuzy, Kroton i inne jeszcze miasta w starożytności. Znaczenie swoje i rozkwit zawdzięczało Epidauros ożywionemu handlowi i świątyni Asklepiosa, oddalonej o trzy godziny drogi od miasta w głąb ładu ¹⁾. Początkowo ograniczało się miasto na sam półwysep, później rozszerzyło się także na płaszczyznę między dwiema zatokami aż do miejsca, gdzie się zaczynają domy dzisiejszej wsi Epidhavra. Dominujące nad miastem szczyty dwóch wzgórz wieńczyły zamki obronne, obwiedzione grubym murem z głazów poligonalnych ²⁾, miejscami do tego czasu wcale dobrze zachowanym. Nieznaczące ślady ruin wskazują miejsce dawnego miasta; z zamków pozostały tylko fundamenta. Na niższym wzgórzu, w miejscu, gdzie stał zamek, zbudowano w czasach bizantyńskich świątynię, lecz i ta już legła w gruzach. Dokładniejszy obraz całego miasta dadzą może dopiero wykopaliska, które w niedalekiej przyszłości mają się tu rozpocząć.

Późniejsze miasto, czyli Nowe Epidauros, leżało dalej ku północy w temsamem miejscu, gdzie dziś leży wspomniana wioska Epidhavra (500 mieszkańców). Składa się ona z kilkudziesięciu domów piętrowych, krytych — jak zwyczajnie — dachówką, a na końcu wsi, tuż nad brzegiem morskim,

„Voraussichtlich treffen wir gegen 6 Uhr abends im Pyräus ein. Für Beförderung ans Land und vom Pyräus nach Athen hat jeder selbst zu sorgen.“

¹⁾ Asklepios, rzymski Eskulap (Aesculapius), był synem Apollina i czczono go, jako boga sztuki lekarskiej. Obok jego świątyń, wznoszonych w gajach, lub w pobliżu źródeł mineralnych, powstawały licznie uczęszczane zakłady lecznicze. Najslawniejszy i najbardziej uczęszczany tego rodzaju zakład był w Epidauros, daleko za miastem, w miejscu, zwanem dziś „Hieron.“ Jest tam najlepiej zachowany teatr grecki, w którym w bieżącym r. 1896 ma się odbyć przedstawienie jednego z dramatycznych utworów Sofoklesa.

²⁾ Są to wielkie, wieloboczne, nieociosane kamienie, układane bez spajania jeden na drugim i tworzące zewnętrzne ściany szerokiego muru, podczas gdy przestrzeń środkową wypełniano drobniejszemi kamieniami.

stoi skromna cerkiew św. Mikołaja (Hagios Nikolaos). Nad bramą powiewała czerwona chorągiew z wizerunkiem tego Świętego; wewnątrz świątyni zdobiła zieleń, posadzka wysłana była gałązkami laurowymi i cyprysowemi. Była to bowiem Niedziela Palmowa według obrządku wschodniego.

Wypocząwszy nieco na obwodowym murze cerkwi, wróciliśmy na okręt, gdzie po raz ostatni w ciągu wycieczki do wspólnego mieliśmy zasiąść stołu; wskutek tego zwykle śniadanie przybrało charakter uczty pożegnalnej z toastami.

Pierwszy toast wznosił p. von Bunsen na podziękowanie Drowi Dörpfeldowi i pani, bez której Dr Dörpfeld nie da się pomyśleć. Ona ożywiała towarzystwo humorem, rozweselała śpiewem, trudy wycieczek osładzała cukierkami. Dr Dörpfeld pił na pomyślny rozwój Grecyi, której piękności i skarby nas zwabiły i złączyły razem. Prof. Löschke wspomniawszy o zasługach ś. p. Dra Bunsena, założyciela niemieckiego Instytutu archeologicznego w Rzymie, pił zdrowie syna, który tradycyjnie w swoim rodzie przechowuje zamięłowanie do starożytności. W pięknej przemowie wznosił prof. Partsch toast na pomyślność pań. Zauważył on, że nie tylko mężczyźni wrażliwi są na piękności Grecyi, lecz także płeć piękna. Pannie obecnością swoją podniosły owe przyrodzone piękności kraju. Gdyśmy opuścili gród Ateny, przyjęła nas pod swoją opiekę „Iris,” a jak tęcza błyszczy siedmiu barwami, tak i w naszym gronie znalazło się siedem reprezentantek płci nadobnej, jaśniejszych siedmiu barwami tęczy. One były łącznikiem pomiędzy przedstawicielami tyłu narodowości, one były wyobrazicielkami zgody i harmonii, jaka panowała. W imieniu austriackich stypendystów podziękował dyrektor Habenicht obu dyrektorom Instytutu niemieckiego w Atenach za uprzejmość i gościnność, jakiej doznaliśmy ze strony Instytutu. Prof. White dziękował w imieniu reprezentantów drugiej półkuli, mianowicie w imieniu Amerykanów. Nadmieniał przy tej sposobności, że już w różnych krajach przedstawiano tragedye greckie, tylko nie na tej ziemi, na której wyrosły. Przed paru dniami w ściślejszem kółku poruszył myśl podobną, a dziś zapowiada, że w r. 1896 odbędzie się w starym teatrze w Epidaurus przedstawienie jednej z tragedyj greckich. Ponieważ Dr Dörpfeld przyrzekł zbudować scenę,

przeto wnosi, aby go zamianować „σχηρήποιον“, na co wszyscy jednomyślnie się zgodzili. Niezapomniano także o nieobecnych ciałem, ale obecnych może duchem, bo sympatyczny Bawarczyk, dyr. Wecklein, wznosił zdrowie piękniejszej połowy tych, którzy zostawić ją musieli w domu. Chociaż wyjechałem cały, lub raczej tą pięknieszą połową jeszcze nieuzupełniony, przecież wychyliłem ten toast do dna. Brakło naszego „Kochajmy się“, a tak byłoby się ono zdało, jako *placitum* dla tych, którzy w praktyce zasadę tę uznają, a jako *monitum* dla wyniosłych Prusaków.

Niedokończono jeszcze toastów, a już warczały koła i płynęliśmy ku wyspie Eginie.

W starożytności odegrała wyspa ta bardzo ważną rolę w dziejach greckich, przez lat przeszło sto stanowiła pierwszorzędną potęgę morską. Wówczas to — bezpośrednio przed wojnami perskimi — ludność wyspy liczyła około pół miliona wolnych i drugie tyle niewolników. EGINECKĄ monetę, miary i wagi, przyjęto w owym czasie prawie w całej Grecyi. Jakież to kontrast do starożytnej Eginy przedstawia dzisiejsza, bezleśna, kamienista, mało uprawna i prawie bezludna wyspa. Cała bowiem terażniejsza jej ludność nie wynosi więcej nad 7000 mieszkańców, z czego więcej niż połowa przypada na lichą mięscinę tejsamej, co wyspa nazwy i na temsamem znajdującą się miejscu, co kwitnące niegdyś i ludne miasto.

Jedynym zabytkiem, przypominającym czasy świetności, są stojące opodal od miasta na wierzchołku góry ruiny świątyni Ateny, stosunkowo nie najgorzej zachowane. Ku nim to zdążał nasz pochód, gdy wysiedliśmy o godz. 2-iej po południu na ląd, nie od strony miasta, ale z przeciwnej, z kądem o wiele bliżej mieliśmy do ruin, bo tylko pół godziny drogi.

Czas powstania świątyni można śmiało odnieść do VI w. przed Chr. Była to dorycka peripterowa budowa, mająca po 12 kolumn wzdłuż podłużnych, a po 6 wzdłuż poprzecznych boków. Cella dzieliły dwa rzędy mniejszych kolumn na dwie nawy. Niektóre kolumny wykute z jednego głazu, inne znów składane, a wszystkie zrobione z żółtawego wapienia. Dziś stoi jeszcze 20 kolumn w całości wraz z belkowaniem podłużnym, reszta zwalona. Dach był zbudowany z marmuru pentelijskiego, a jego przyczółki zdobiły rzeźby, przedsta-

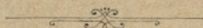
wiające walkę Greków pod Troją. Z 22 figur dochowało się w całości 15, reszta w ułamkach. Zakupił je w r. 1812 ówczesny bawarski następca tronu Ludwik i odrestaurowane przez Thorwaldsena, zdobią dziś eginecką salę Glyptotheki monachijskiej.

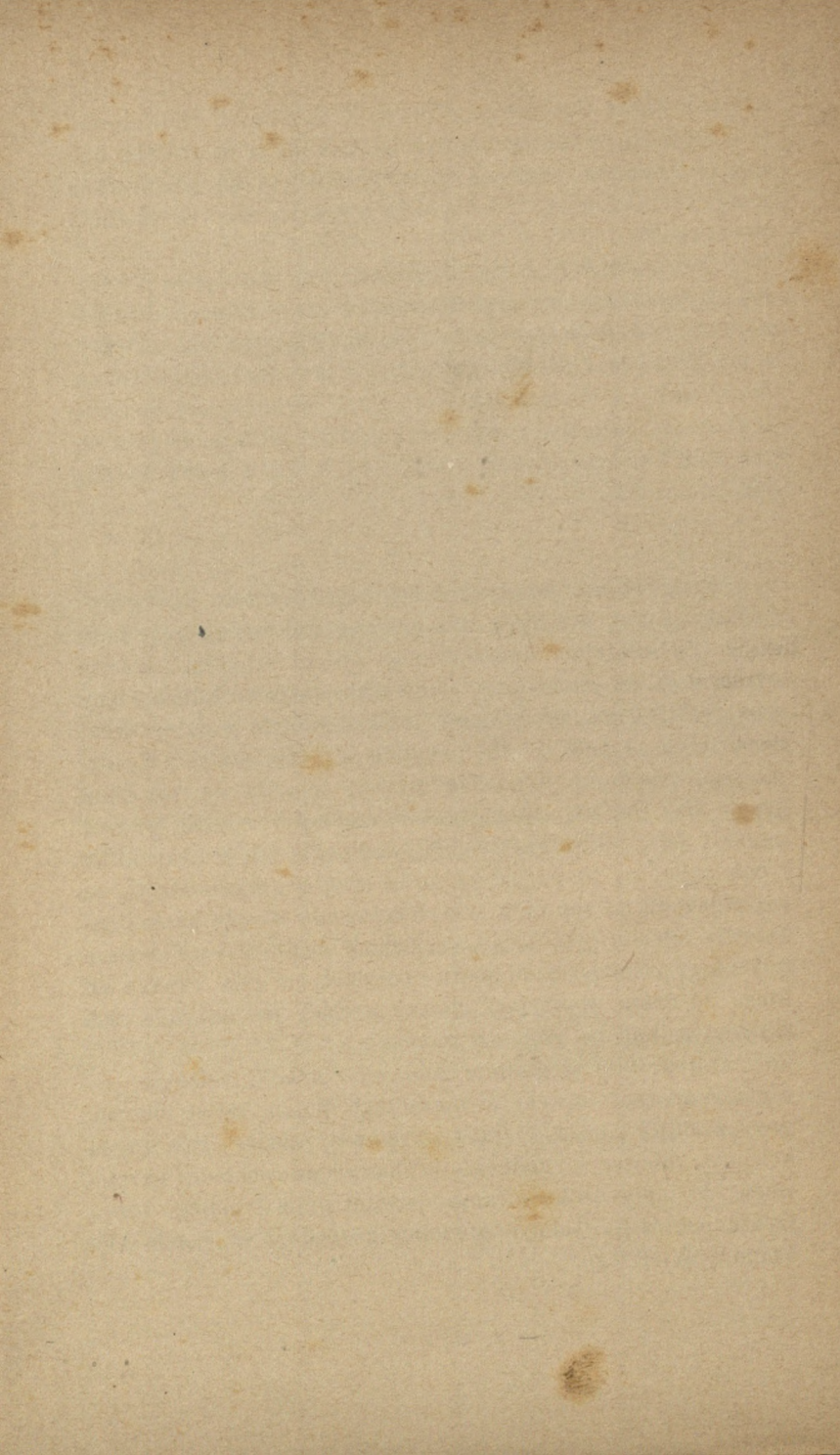
Przez długi czas nie wiedziano, jakiemu bóstwu poświęcona była świątynia; dopiero odnalezione w ruinach dwa napisy, dały niezbity dowód, że była to świątynia bogini Ateny, a nie Zeusa panhelleńskiego, jak przedtem mniemano. Ołtarz Zeusa stał na wierzchołku góry Oros, dominującej nietylko nad wyspą, lecz nad całą zatoką Saronką. Jego miejsce zajęła dziś kaplica „Hagios Elias,” od której i górze tęsamą nadają nazwę.

* * *

Przy ruinach świątyni Ateny zakończyliśmy szereg wycieczek na ląd, odbytych w ciągu tygodniowej podróży morskiej. Ze smutkiem opuszczaliśmy uroczne miejsce, kierując wzrok nasz na malowniczo około Akropolisu rozłożone Ateny i na port Pyreus, od którego już tylko dwie godziny drogi nas dzieliło. O godz. 4-ej po południu odpłynął statek z Eginy. Na jego powitanie w pobliżu Pireusu zjawiły się tuż obok okrętu trzy delfiny. Niebawem w szalonych susach po nad morskie fale, jakby na wyścigi, nadbiegło ich jeszcze kilka i pokazując się to po jednej, to po drugiej stronie okrętu, to raz z przodu, to znowu z tyłu, wyprawiały wesole harce i zabawiały swoim widokiem wszystkich podróżnych. Dopiero gdy okręt zbliżał się do portu, pozostały w tyle i tylko od czasu do czasu wychylały ciemny grzbiet po nad fale, lub skacząc znikwały w głębiach morskich.

O godz. 6-ej wieczorem zabrawszy tobołki podróżne, pożegnaliśmy nasz statek, a niezadługo potem świst lokomotywy zastąpił huczenie trąby okrętowej, ciasny zaś wagon kolejowy miejsce wygodnego i obszernego pokładu okrętowego. Po upływie kwadransa, powitał mnie i mojego towarzysza podróży z Galicyi, uprzejmy gospodarz w „hotelu Aleksandra Wielkiego.“





Aug 135

~~White~~

~~500~~

15-

~~on~~

6855

12388